Nr 24
24–31. XII. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



W DZISIEJSZYM NUMERZE PISZĄ: J. BRZECHWA – S. GRODZIEŃSKA – K. GRUS – P. HULKA-LASKOWSKI
R. MATUSZEWSKI – Z. MITZNER – W. NATANSON – W. OSTROWSKI
M. PIECHAL – B. WIT-ŚWIĘCICKI – M. WAŃKOWICZ I J. WYSZOMIRSKI

POKÓJ LUDZIOM DOBREJ WOLI

Drugie Boże Narodzenie po najkrwawszej z wojen, jakie przeżyła ludzkość, zastaje nas wśród ciężkiej pracy organizowania pokoju. Wojna nowoczesna nie polega tylko na walce zbrojnych oddziałów. Jest ona istotnie wojną totalną. Zasięgiem swym obejmuje wszystkie dziedziny życia. Obejmuje stosunki społeczne i gospodarcze, sięga głęboko w zakres moralności i kultury, wnika w całokształt stosunków międzyludzkich. Jej działanie jest zarówno niszczycielskie jak i rewolucyjne. Obala istniejący stan rzeczy, dezorganizuje istniejącą hierarchię, narzuca konieczność przeorganizowania życia na nowych zasadach.

Koniec wojny stawia przed narodami problem przyczyn, które ją spowodowały, narzuca chęć wyeliminowania ich ze stosunków międzynarodowych, aby uniemożliwić pogrążenie świata w odmęcie nowej katastrofy.

Pragnienie pokoju i jak najmocniejszego utrwalenia go staje się elementem dominującym w uczuciach ludów tak straszliwie doświadczonych przeżyciami lat 1939—1945. Ale oto przy realizacji tego pragnienia przeciwstawiają się sobie dwie wole: wola dobra i wola zła. Nie zniknęły bowiem i nie starte zostały z powierzchni ziemi te wszystkie czynniki, które pragną zamienić historię w łańcuch ustawicznych walk. Stąd płyną wszystkie olbrzymie trudności, na które napotykamy, przy organizowaniu pokoju.

Przez świat przepływa wielka fala nieuniknionego rozczarowania. Większość ludzi sądziła, że moment kapitulacji Niemiec przyniesie likwidację wszystkich nędz, trosk i niepokojów. Tymczasem okazało się, że wkroczyliśmy tylko w nowy okres przynoszący konieczność rozwiązania innych problemów, niż te, które narzucała wojna. W pierwszym rzędzie są to trudności gospodarcze. Zniszczenia wojenne, wielkie ruchy ludności, wytracenie milionów ludzi, brak rąk roboczych w związku z powołaniem pod broń wielkich armii — to wszystko razem wzięte powoduje niedostatek żywności, niedostatek najpotrzebniejszych przedmiotów codziennego użytku, niedostatek domów i mieszkań. Obliczono, iż ogólny niedobór zboża w stosunku rocznym wynosi obecnie na świecie około dwóch milionów ton. A jest to przecież jeden tylko z zasadniczych problemów stojących przed światem.

Poszczególne narody, każdy na własną rękę i każdy na własny sposób, szukają dróg wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazły. Polska zarówno jak i wiele innych krajów Europy, wkroczyła na drogę reform społecznych. Reforma rolna, znosząc wielką własność ziemską, miała na celu zaspokojenie dawnych politycznych i gospodarczych dążeń masy chłopskiej. Nacjonalizacja wielkiego i średniego przemysłu uniemożliwiła ubożenie kraju przez wywożenie za granicę zysków ciągnionych przez kapitalistów z pracy robotnika. Co dała ta reforma, uświadomić sobie możemy chociażby na przykładzie węgla, którego produkcja, przekraczając wysokość przedwojenną, uczyniła z Polski jedno z głównych pod tym względem państw na świecie. Skupienie produkcji węgla w ręku państwa dało możność nie tylko pokrywania zapotrzebowania wewnętrznego, uruchomienia przemysłu i komunikacji, ale stworzyło także możliwości rozwijania naszego handlu zagranicznego, przywozu surowców i maszyn.

W zakresie odbudowy gospodarczej państwo polskie położyło wielki nacisk na rozwój spółdzielczości, stwarzając w dziedzinie handlu formę uspołecznionego pokrywania zapotrzebowania konsumenta. Nie zamykając oczu na rzeczywistość i widząc ciężką jeszcze sytuację gospodarczą człowieka pracy, stwierdzić trzeba, że właśnie dzięki tym reformom udało się w minionym okresie dokonać bardzo wiele i stworzyć perspektywy dalszego rozwoju.

Polska, jak żaden może inny naród na świecie, szczerze i gorąco pragnie utrwalenia pokoju. Tylko głupcy pragnąć mogą trzeciej wojny. Zrozumiałym jest, iż w tej trzeciej wojnie Polska stałaby się znów terenem najcięższych zmagań, a dalsze straty ludzkie zagroziłyby samemu biologicznemu istnieniu narodu.

Dlatego też polityka nasza wytęża wszystkie siły dla popierania wszelkich tendencji pokojowych w świecie, jest ona bowiem z ducha swego i z najgłębiej pojętego interesu narodu polityką dobrej woli, zarówno w stosunkach wewnętrznych jak i w stosunkach z innymi narodami.

Ostatnie zgromadzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych przyniosło szereg rezultatów, pozwalających bez obaw patrzeć w przyszłość. Dało ono przezwyciężenie szeregu sprzeczności interesów między państwami, dało załatwienie ostateczne kwestii traktatów pokojowych z byłymi sojusznikami hitlerowskich Niemiec, pchnęło naprzód sprawę likwidacji faszyzmu w Hiszpanii i wreszcie przyjęło zasadę ujawnienia z dniem 1 stycznia stanu zbrojeń na świecie. Wydaje się, iż dobra wola triumfować zaczyna wśród narodów, które wygrały wojnę i organizują pokój.

Toteż święta Bożego Narodzenia obchodzić będziemy mogli w spokoju serc i umysłów, przyjmując za pokrzepienie słowa starej pieśni o pokoju dla ludzi dobrej woli.

Zbigniew Mitzner

☆

Wszystkim czytelnikom i sympatykom naszego pisma serdeczne życzenia

WESOŁYCH ŚWIĄT I POMYŚLNEGO NOWEGO ROKU

przesyła

Redakcja i Administracja „TYGODNIA"

GLORIA IN EXCELSIS DEO

(Fragment obrazu Lorenza Lotto w Bergamo z r. 1521)



Zdarzenia i ludzie

POLKI WE WŁOSZECH

Z prasy emigracyjnej dowiadujemy się o losie tych, którym wracać „nie kazano". Żołnierze Andersa wyjechali z Włoch do Anglii. Wyjechali również dowódcy i przywódcy. Ale wyjeżdżając pozostawili około trzystu ciężarnych Polek, spodziewających się w najbliższym czasie potomstwa. Są to kobiety, które do niedawna jeszcze pełniły służbę czynną w szeregach armii Andersa, a dziś porzucone przez towarzyszy broni i pozostawione na łasce losu we Włoszech. Los ten jest godny pożałowania. Nieszczęsne kobiety, żony i przyszłe matki, bez niczyjej opieki i pomocy, opuszczone i zawiedzione, mieszkają na podłodze, stłoczone w ciasnych pomieszczeniach, Włosi nie szczędzą im wyzwisk i przekleństw, obrzucają je kamieniami. Jeden z dowódców, gdy zwróciły się do niego o pomoc, zdobył się na rycerską odpowiedź: „A czemużeście nie postarały się wcześniej pozbyć tego kłopotu?".

Trzysta nieszczęśliwych istot skazanych zostało na poniewierkę, na nieopisane cierpienia, kto wie, czy nie na zagładę, tylko po to, aby politycznym ambicjom grupki przywódców stało się zadość.

Ciężarne kobiety nie w głowie są dzisiaj tym, których własne kariery się walą. Nie w głowie im obowiązek dowódcy, ani honor mężczyzny, ani rycerskość Polaka. Ale wracać do kraju tym biednym pasierbicom losu nie pozwolono, chociaż wiadomo, że tutaj znalazłyby odpowiednią opiekę i chleb, zamiast włoskich kamieni i przekleństw. Dzieje tych porzuconych i sponiewieranych kobiet, to tragiczne oskarżenie przywódców londyńskiej emigracji i dowód ich politycznego bankructwa.

HEMAR WŚRÓD SWOICH

Hemar, autor niewątpliwie dowcipny i utalentowany, filar kabaretu pod nazwą „Biały Orzeł" (sic!), satyryk i piosenkarz, został w Londynie pasowany na kaznodzieję i wieszcza. Wśród nieporozumień emigracyjnych i na takie nieporozumienie znalazło się miejsce. Ale ubierając Hemara — humorystę w mickiewiczowską togę, wyświadczono mu niedźwiedzią przysługę. Hemar uwierzył w swoje posłannictwo i woda sodowa tak mocno uderzyła mu do głowy, ża nawet własnych jego przyjaciół wyprowadziło to z równowagi. Oto w Nr. 31 z 3 listopada rb. londyńskich „Wiadomości", w artykule poświęconym megalomanii Hemara, taki znajdujemy passus: „W Hemarze jest Jekyll i Hyde, jest humorysta — poeta i humorysta mechaniczny, łatwy, zachwycony sobą, pozbawiony skrupułów, pozbawiony zmysłu humoru wobec siebie samego, zdradzający nadmierne poczucie nietykalności osobistej. dziwne w człowieku, który sobie przypisuje prawo dotykania wszystkich. Ten drugi Hemar, Hemar—Hyde jest jednym z prawodawców i umocnicieli dowcipkarskiego stylu naszej emigracji, to on rozprawia się poniżej pewnego dopuszczalnego poziomu z Mickiewiczem, to on poczuł się obrażony i pragnął obrażać".

Tak o Hemarze napisał tygodnik literacki, który sam, od czasu do czasu, zamieszcza ckliwe — patriotyczne, kabaretowe zwrotki Hemara. Może te cierpkie słowa prawdy otrzeźwią garstkę naszych kumoszek, biorących londyńskiego „wieszcza" na serio i piejących jego chwałę w anonimowych listach.

Jan Brzechwa

OD WIGILII DO TRZECH KRÓLI

Dawne obyczaje słowiańskie

Okres Bożego Narodzenia, trwający od Wigilii do Trzech Króli, był najbardziej uroczyście obchodzony od najdawniejszych czasów, i z nim związane były i są pewne tradycje i obrzędy, z których wiele z biegiem czasu zaginęło, inne uległy modernizacji i w zmienionej formie są kultywowane, zwłaszcza w środowiskach wiejskich.

BOŻE NARODZENIE

W całej prawie Słowiańszczyźnie w Wigilię podaje się wieczerzę postną. W niektórych okolicach dochowały się jeszcze pewne obrzędy, pozostałości odległej starożytności, przywiązane do tej uczty. Stół przysypują sianem, a na wsi, w kącie izby, w której się wieczerza odbywa, stawiają snopy żyta lub pszenicy. Z siana, umieszczonego na stole pod obrusem, po skończonej wieczerzy, ciągną wróżby odnośnie gospodarstwa, przyszłości lub związków małżeńskich. W jednych okolicach zwyczaj wymagał, by gospodarz przespał noc wigilijną w poświęconym sianie, w innych zaś powinien dotąd je przebierać, źdźbło po źdźble, aż znajdzie ziarnko zboża. Tym bowiem tylko sposobem zapewni sobie pomyślność i szczęście na rok następny. Ze snopów zboża, ustawionych w izbie, gospodarz lub gospodyni robili przewiązła, wybiegali na ogród boso i w koszuli i przewiązywali te spośród drzew owocowych, które nie rodziły. Według mniemania ludu, drzewa te odtąd nie marzły i wydawały w roku następnym obfity plon. W pewnych dzielnicach Polski, w sianie rozesłanym na stole, szukano ziarn zboża i wsypywano je do zasieków z żytem lub pszenicą, przeznaczonych na nasienie, w mniemaniu, że tym sposobem ochroni się zboże od chorób i zapewni większy plon; w innych zaś stronach siano oddawano bydłu, aby nie chorowało.

Powszechnie wierzono, że do wieczerzy w Wigilię koniecznie zasiąść powinna parzysta liczba osób, w przeciwnym bowiem razie jedna z obecnych osób mogłaby umrzeć w ciągu roku. Najbardziej niebezpieczna była liczba trzynaście. Ten sam przesąd wymagał, by potraw na wieczerzę było dziewięć. W okolicach Niemna włościanie pętali w tym dniu nogi stołu, na którym stała wieczerza wigilijna, ażeby bydło nie tratowało zasiewów i nie uciekały roje pszczół. W Małopolsce nie wiązano w Wigilię mioteł do zamiatania, w obawie, by piorun nie spalił chaty. Gospodynie zaś starannie chowały kłębki i wrzeciona, żeby wołom nie ciągnęła się ślina. W innych miejscowościach kobiety zwijały wielkie kłębki nici, w mniemaniu, że od tego zależeć będzie wielkość głów przyszłorocznej kapusty. Nie wolno było w takim dniu zginać obręczy , grodzić płotów, gdyż cielęta rodziłyby się z krzywymi nogami.

Bydło karmiono resztkami potraw wigilijnych, wprowadzając je do izby i ściśle przestrzegając, żeby nikt z domowników nie wymówił nazwy wilka. Przyniesioną wodą spod młyńskiego koła pokrapiano dobytek. Dziewczęta, wywróciwszy koszule i suknie na lewą stronę, siadały na ożóg i udając czarownice, wyskakiwały z izby oknem i jeździły na ożogu po granicach swego gospodarstwa niosąc z sobą wymiecione z izby śmiecie, które zakopywały na miedzy. Gospodyni domu wiodła rej między nimi. Bieliznę świąteczną dla wszystkich domowników. musiała gospodyni naszykować w Wigilię, gdyż w święta nic ze skrzyni nie wolno było wyjmować.

W okolicach Warszawy włościanie wierzyli i wierzą, że jeżeli w Wigilię niebo jest gwiaździste, to krowy będą mleczne, a kury nośne. W całym niemal kraju gospodarze z nocy wigilijnej wróżą pogodę na najbliższy okres. I tak np. mówi się:

„Jak się Adam z Ewą głosi,
Tak się koniec grudnia nosi".
„Jeśli na Gody widać odłogi,
To na Wielkanoc bywa śnieg srogi".
„Gdy w Narodzenie pogodnie,
Będzie tak cztery tygodnie".
„Kiedy Gody mróz zaczyna,
Na Wielkanoc chlapanina".

Ze stanu pogody w noc wigilijną wyciągają gospodarze następujące wróżby: noc jasna i spokojna wróży zdrowy rok i dostatek wszelki; jeśli tej nocy wiatr wschodni wieje, będzie pomór bydła; a gdy wiatr południowy — zaraźliwe choroby.

W Poznańskiem gospodarze brali pęki słomy na jutrznię i mszę zwaną „pasterką". Tą słomą obwiązywali potem drzewa owocowe by lepiej rodziły; natomiast w okolicach Włocławka lud idąc do kościoła w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, opasywał się powrosłami ze słomy. Po powrocie do domu, z powróseł tych robiono mniejsze, i również obwiązywano nimi drzewa owocowe, co miało chronić je przed robactwem. W Małopolsce prawie każdy włościanin, idąc na „pasterkę", brał ze sobą świecę, ozdobioną włóczką czerwoną lub tasiemką wełnianą, zwaną „karasówką". Jeśli świeca zgasła podczas mszy pasterskiej, oznaczało to zapowiedź śmierci.

W święto Młodzianków na Kujawach nie rozpoczynano żadnej pracy.

NOWY ROK

Nowy Rok u wszystkich ludów pogańskich i chrześcijańskich obchodzony był uroczyście. Starożytni Rzymianie, składając w tym dniu życzenia, starannie unikali wyrazów, które mogłyby być poczytane za zły „omen". Również unikali zwad i przekleństw gdyż jedno nierozważne słowo mogłoby pociągnąć za sobą złe skutki w ciągu całego roku. Żeby rok następny był pomyślny w pracy, każdy Rzymianin musiał choć trochę w tym dniu popracować.

I u nas wiele osób wyprowadza wnioski i wróżby z tego dnia na cały rok.

W Małopolsce mniemano, że pomyślność w nowym roku zależy od tego, co kto najpierw w tym dniu zobaczy, przy czym najlepiej jest zobaczyć źrebię, najgorzej gęsi. W wielu okolicach kraju, lud wierzy, że w noc noworoczną (na Mazowszu w wigilijną) bydło prowadzi ze sobą rozmowy. Biada jednak śmiałkowi, któryby taką rozmowę podsłuchał.

Do Nowego Roku odnoszą się następujące przepowiednie gospodarskie, interesujące przede wszystkim wieśniaków:

„Nowy Rok pogodny,
Zbiór będzie dorodny;
Nowy Rok pochmurny,
to zbiór będzie durny".

„Gdy Nowy Rok nastaje, każdemu ochoty dodaje", bo już „na Nowy Rok przybywa dnia na barani skok".

TRZECH KRÓLI

W okolicach Sieradza w wigilię Trzech Króli wygaszano wszelkie ognie i dopiero po nabożeństwie zapalano przy poświęconym ogniu kawał powroza i rozniecano w kominie ogień, który utrzymywano przez cały rok.

Południowi Słowianie wierzyli, że o północy w przededniu Trzech Króli otwierało się niebo, a wówczas wystarczyło tylko westchnąć, aby otrzymać od Boga to, czego kto pragnął. Dlatego lud serbski o północy wychodził w pole; nie każdy jednak dostępował łaski tego cudu.

W Anglii obierano tego dnia króla „migdałowego" i wznoszono go trzykrotnie w górę. przy czym wykreślano kredą krzyż na pułapie izby, co miało ochraniać dom od wszelkich klęsk i czarów. Wieczorem zaś wieśniacy angielscy przepijali do drzew owocowych, by te obficie rodziły.

W innych okolicach przesąd nie pozwalał jeść w tym dniu kolacji, dopóki się nie zobaczyło trzech gwiazd, w przeciwnym razie cały rok bolały zęby.

Kreda, poświęcona w dzień Trzech Króli, używana była w medycynie ludowej do odczyniania uroków. Kto chciał np. urzec młyn, musiał włożyć kawałek kredy poświęconej — wisielcowi w zęby ,tak, aby się zgniotła, nacisnąwszy szczęki trupa. Kredę taką rzucali źli ludzie pod koła młyńskie, a te przez cały rok i sześć niedziel łamały się, jeśli szkodnik wcześniej uroku nie odczynił. Aby się tego ustrzec, młynarze co rok w dzień Trzech Króli kreślili kredą poświęconą imię Jezus na młyńskim kamieniu.

O Trzech Królach mówi stare przysłowie:

„Gdy królowie w szopie,
A dzień się zachmurzy,
Siedź w chałupie chłopie —
Do Gromnicy wzburzy".

M. B.



Dosiego roku życząc panu bratu,
Kiedy w rozłące pędzim dni ostatek,
(Choć dziś ten zwyczaj obojętny światu)
Szlę ci opłatek...

Ojców to naszych obyczaj prastary,
Rodzimej niwy maluje dostatek;
Symbol braterstwa, miłości i wiary
Święty opłatek.

Dawniej po wioskach chodzili kwestarze,
Przy nich katechizm powtarzały dziatki,
I z Bożem słowem przynosili w darze,
Białe opłatki.

Lecz świat dzisiejszy, który w nic nie wierzy,
Co nie jest złotem, bogactwem, dostatkiem,
Co — Boże odpuść — nie mówi pacierzy, —
Gardzi opłatkiem...

Ale my — czcimy, co obyczaj święci,
Czy ty za światem, czy ja w naszej chacie;
Więc ten opłatek w dowód mej pamięci,
przyjm miły bracie.

Urywki z kolędy Kajetana Kraszewskiego przesłanej bratu Józefowi Ignacemu do Drezna w 1876 r.

HEJ, KOLĘDA, KOLĘ-DA!

W całej Polsce, według dawnego obyczaju, począwszy od wieczoru wigilijnego aż do Trzech Króli, wszyscy obdarzali się wzajemnie podarunkami, które nazywały się kolędą. Niektóre kolędy zadziwiały swoją wspaniałością i hojnością, jak np. kolęda noworoczna marszałka Kazanowskiego w roku 1638.

Oto spis upominków, przytoczony przez Łukasza Gołębiowskiego:

„P. Koniuszemu koń siwo-jabłkowaty, z rzędem srebrnym i kutaskami; P. sekretarzowi Jasińskiemu kiereja (suknia wierzchnia turecka, podbita futrem) altembasowa z rysiami i klamrą srebrną; P. sekretarzowi Kulczyckiemu kiereje z popielicami; P. inspektorowi pacholików pas z zapinką i kanakiem (naszyjnik); P. inspektorowi domu żupan adamaszkowy czerwony, i tem (również) kołpak soboli; P. piwniczemu czapka z sobolami. Każdemu z pacholików nowy żupan według nowego kroju i po 8 złotych każdemu, ze starszych służebnych po złp 7, każdemu ze średnich po 6, każdemu z młodszych po 3, każdy ciura weźmie złp 2, każdy popychacz złp 1. Ichmość PP. rotmistrze wezmą po szabli roboty Andrzeja ze Starego Miasta, inni PP. towarzysze starsi wybiorą, jak im się upodoba, po parze pistoletów z mego arsenaliku, młodzi zaś po szabli roboty Jonsona z Podwala. Jeśli który z młodszych towarzyszów nie ma teraz konia, to mu wolno wybrać z trzeciej mojej stajni. Ksiądz kapelan weźmie z moich antyków, co mu się podoba, a kaznodzieja pierścień z wizerunkiem Pana miłościwego; gwardian zaś bernardyński, nasz spowiednik, asygnację na 20 wozów zboża. Szpitalowi na Mostowej ulicy daję asygnację na tyleż wozów. szpitalowi św. Ducha na wozów 10. Moi przyboczni wezmą po 20 złotych, a kto by został pominion, niech śmiało przyjdzie do mnie, przypomni, a będzie obdarzon".

Obyczaj kolędowania przysparzał też niemało dochodu duchowieństwu, któremu nie szczędzono ofiar i datków. Oto co o kolędzie pisze w pamiętnikach z czasów saskich ksiądz Jędrzej Kitowicz:

„Kolenda jest to obrządek kościelny, który się zaczyna od Nowego Roku i trwa do Wielkiego Postu. Księża plebani lub ich wikariusze w te czasy jeżdżą po dworach i wsiach albo po miastach chodzą po domach, ogłaszają w krótkiej przemowie przyjście na świat Słowa Wcielonego, życzą błogosławieństw wszelkich niebieskich i ziemskich i po skończonej perorze egzaminują czeladź domową i służących z katechizmu. Asystujący księdzu do tej kolendy organista z bakałarzem, gdzie jest i kilku chłopców. śpiewają na wchodzeniu i wychodzeniu jaką pieśń o Bożym Narodzeniu. Po wyjściu księdza dziewki ubiegają się do stołka, na którym ksiądz siedział. Która pierwsza usiądzie, ma sobie za wróżbę, że tego roku za mąż pójdzie. Po wsiach chłopi w Wielkiej i Małej Polsce dają księdzu kawałki słoniny, serki, orzechy, grzyby suche i owoce, kokosze, a oprócz tego po kilka groszy. Po miastach zaś same tylko pieniądze, na jakie kogo stać; to samo i po dworach, w których pospolicie po odbytej kolendzie raczą się gospodarz z księdzem".

Tak zwanemu „chodzeniu po kolędzie" towarzyszyły zazwyczaj bardzo wesołe obrządki i ceremonie. Młodzież przede wszystkim wiejska, a także i miejska udając się na kolędowanie, przystrajała się w przeróżne skóry zwierzęce, imitujące niedźwiedzia, tura, kozę, bociana. Jak dawny był to obyczaj, dość przypomnieć, że już Mikołaj Rey, mówiąc o kimś, twierdzi, że „lata, by z wilczą skórą, po kolędzie".

Obchodząc po kolei z muzyką i śpiewem gospodarzy, kolędnicy wypraszają sobie dary, kończąc odwiedziny piosenką, zależnie od przyjęcia, którego doznali.

Gdy datki były hojne, śpiewają:

Żeby wam się rodziło
żytko, jak korytko,
bób, jak żłób,
owies, jak skopiec.

Gdy zaś przyjęcie było skąpe, lub wcale go nie było, życzą złośliwie:

Żeby wam się rodził kąkol i stokłosa
babie do pół nosa.

Albo, jeśli jest dużo dziewcząt w jakiej chacie, wyśpiewują:

U naszych dzieweczek dobry porządeczek,
świnie w piecu ryją, psy naczynia myją,
a łyżki pod ławą zarosły murawą,
krowy nie wydoi, ogona się boi,
izby nie zamiecie, kupą stoi śmiecie.

Chodzenie po kolędzie powtarza się jeszcze na Trzech Króli. W przeddzień tego święta odbywa się wędrówka młodzieży wiejskiej po chatach z „gwiazdą", wyklejoną z kolorowego papieru i z płonącą wewnątrz świecą. Wigilię TrzechKróli lud nasz w wielu okolicach nazywa Świętem Szczodrym, na pamiątkę darów, złożonych przez monarchów u żłobka maleńkiego Jezusa. Stąd też pieczone tego dnia po wsiach małe kukiełki nazywają się szczodraczkami.

Czy piekliście szczodraczki, bochnaczki?
dajcież nam —
nagrodzi wam Pan Jezus
i święty Jan.

Jeżeli zaś młodzi kolędnicy tych „szczodraczków bochnaczków" nie otrzymują, niezbyt grzecznie życzą gospodyni:

Kiedyś nie miesiła,
bodajżeś się powiesiła!

Wieczory: wigilijny, noworoczny, Trzech Króli to tak zwane „Święte wieczory" okresu Bożego Narodzenia, poświęcone śpiewaniu pieśni i rozrywkom.

R. K.

ŚLĄSK ZBLIŻA SIĘ DO MORZA

Ze względu na niedomagania transportowe, szczególnie zaś ze względu na brak odpowiedniej ilości taboru kolejowego, przewóz węgla przeznaczonego na eksport do krajów zamorskich do daleko od zagłębia węglowego położonych portów Gdyni i Gdańska, nastręcza, jak dotąd wiele trudności.

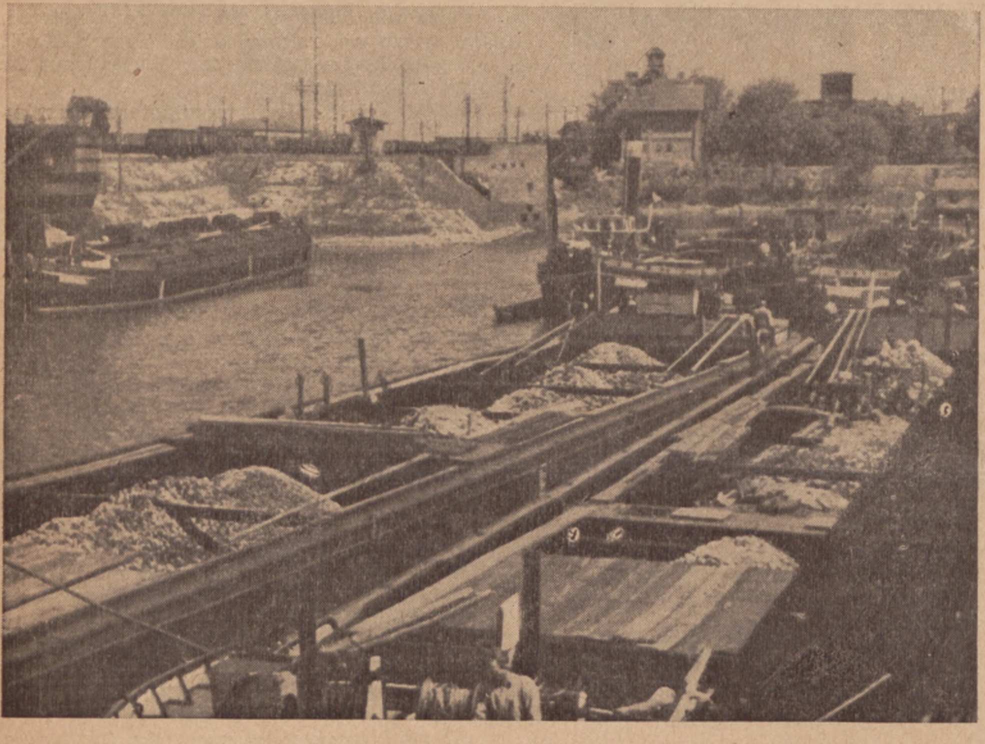
Od chwili przejęcia w posiadanie pierwszych obiektów portowych w Szczecinie, wyłonił się problem wykorzystania wodnych dróg śródlądowych. Niegdyś uregulowana i spławna na całej długości rzeka Odra z miejsca rozwiązałaby problem transportu nie tylko węgla, ale wszystkich przeznaczonych na eksport artykułów naszego przemysłu, gdyby nie to, że w wyniku działań wojennych i dewastacji, Odry — jako wodnej arterii śródlądowej nie można było wogóle brać pod uwagę. Dziesiątki zerwanych mostów i niezliczone mnóstwo zatopionych wraków, barek i statków zatarasowały koryto rzeki. Przez uszkodzenie kilkunastu śluz i tam, poziom wody na Odrze spadł katastrofalnie i o przebyciu jej w górnym biegu nawet łódką nie zawsze można było marzyć. Tym bardziej trudno było myśleć o wznowieniu żeglugi.

Mimo to zagadnienie wykorzystania Odry nabierało z każdym dniem większego znaczenia i, mimo wszystko, trzeba było niezwłocznie zabrać się do rozwiązania tego problemu. Nie szczędząc kosztów i wysiłków, Państwowy Urząd Dróg Wodnych przystąpił do pracy. Już w kilka miesięcy później zamierzenia zostały uwieńczone poważnym sukcesem. Przed pół rokiem ruszyły z Koźla pierwsze holowniki, unosząc na ujętych w karby szesnastu naprawionych śluz, wodach, pierwsze barki z węglem, które tą drogą spławiono do Szczecina. Pierwszy i najcięższy etap zamierzeń został osiągnięty, ale do osiągnięcia celu było jeszcze daleko. Przede wszystkim, do odległego o prawie 50 km od Katowic Koźla, trzeba było dowozić węgiel wagonami kolejowymi, a następnie przeładunek węgla w tym porcie rzecznym, ze względu na olbrzymie zniszczenie dokonane w urządzeniach portowych, odbywał się z dużymi trudnościami.

Wówczas uwagę skierowano na doprowadzenie do porządku niemniej zdewastowanego Kanału Kłodnickiego (Gliwickiego), łączącego Koźle z Gliwicami, a więc niemal z centrum naszego okręgu węglowo-przemysłowego. Budowę tego kanału zaprojektowali Niemcy na długo przed wojną. Realizację projektu rozpoczęto w roku 1936 i ukończono w roku 1941. Budowę portu w Gliwicach ukończono w roku 1942 i od tej chwili Niemcy zaczęli spławiać tą drogą prawie wszystko, co zdołali wyprodukować w hutach i fabrykach śląskich, oraz kierować tą drogą wydobyty przy zastosowaniu najbardziej rabunkowych systemów, węgiel z kopalń, którego rocznie



NA ODRZE — Holownik z barkami wpływa do śluzy.



KOŹLE — Port węglowy.

wywozili stąd ponad 3.5 miliona ton. Uchodząc, zdołali w pośpiechu zniszczyć lub zdewastować urządzenia i śluzy. Umocnienie brzegów kanału, oczyszczenie koryta i częściowa na razie naprawa śluz wymagała nieludzkich wysiłków i poważnych kredytów, ale i to zadanie osiągnięto i Kanał Kłodnicki oddano do użytku. Już od dwóch miesięcy tą drogą płyną barki z węglem, ale transport jest jeszcze zbyt kosztowny i całkowite wyzyskanie tej arterii na razie jest niemożliwe z powodu braku sprzętu transportowego. Port w Gliwicach doprowadzono do porządku, zmontowano już rozebrane dwa dźwigi portalowe i dwa mniejsze, półportalowe, których zdolność przeładunkowa jest wielka, ale...

Niemcy posiadali olbrzymią ilość barek i holowników, dzięki czemu w dzień i w nocy odbywał się na tej arterii obustronny ruch transportowy. Uciekając, barki i holowniki albo zabrali ze sobą, albo potopili po uprzednim ciężkim uszkodzeniu tych jednostek. Obecnie posiadany na tej trasie tabor wodny stanowi nieznaczny procent dawnego stanu. Polska żegluga rozporządza zaledwie kilkoma holownikami i około 60-ma barkami. Znów więc wyłania się trudny do rozwiązania problem zdobycia środków transportowych. Zwiększenie taboru da się na razie osiągnąć drogą wydobycia i wyremontowania zatopionych i dotąd leżących na dnie Odry jednostek.

Liczymy też na pomoc ze strony ZSRR, który w ramach odszkodowań wojennych przejął w swoje ręce sporę ilości taboru rzecznego i będzie mógł go nam albo odstąpić, albo przekazać w ramach reparacji szkód wojennych.

W każdym razie gros zadań zdołaliśmy w dość krótkim czasie wykonać. Cel główny osiągnęliśmy, gdyż węgiel niemal wprost z kopalń transportujemy drogą wodną nad polskie morze. Na Odrze budzi się życie, wzmaga się ruch i to po roku pracy. Dalsze wysiłki trwać będą nieustannie, nawet w okresie zimowym, by jak najprędzej doprowadzić do pełnych możliwości wykorzystania tego cennego szlaku śródlądowego. A z nastaniem wiosny, stosownie do zapowiedzi, szerokim strumieniem popłynie polski węgiel tą na nowo otwartą drogą, do objętego w całości portu szczecińskiego, który z dniem każdym stawać się będzie coraz groźniejszym konkurentem dla przeciążonych obecnie portow w Gdyni i Gdańsku. Dzięki temu zluzuje się tabor kolejowy, którego brak dotąd dotkliwie odczuwamy w kraju i unormuje się dostawy węgla, dzięki któremu zwiększą się nasze obroty towarowe z krajami zagranicznymi, — a od tego uzależniony jest powrót dobrobytu, zwiększenie produkcji i podniesienie stopy życiowej mas pracujących.

Roman Kwiatkowski

FELIETON GWIAZDKOWY

Nie umiem i nie lubię pisywać artykułów okolicznościowych, związanych z dorocznymi świętami, z jakąś rocznicą czy obchodem — wszystko jedno, czy to jest Gwiazdka czy Wielkanoc, Konstytucja 3 Maja czy Dzień Matki, Święto Morza czy Tydzień Książki. Trudno się w takich artykułach ustrzec szablonu, powtarzanek i maniery. Kiedyś zdarzyło mi się napisać artykuł wigilijny. Było to wiele lat temu, gdy pracowałem w redakcji „Słowa" wileńskiego, które było pismem — jak wiadomo — katolickim i konserwatywnym. Jako takie, posiadało swego nadwornego — że go tak nazwę — hagiografa czyli specjalistę od tych „świętości narodowych", o których Wyspiański powiedział: „ale świętości nie szargać, bo trza, żeby święte były" — hagiografa w rodzaju owego Ludwika hr. Dębickiego z redakcji „Czasu", co to — jak opowiada Boy — bezkonkurencyjnie pisywał nekrologi o „ostatniej matronie polskiej", która zawsze była „ostatnią", zawsze „surową dla siebie a pobłażliwą dla drugich". Nawiasem mówiąc, w każdym piśmie, bez względu na jego kierunek, taki przysięgły hagiograf być musi, bo aczkolwiek „świętości" zmieniają się niekiedy, pisać o nich zawsze trzeba.

Owego roku, gdy pisałem swój felieton gwiazdkowy, Walerian Charkiewicz był jakoś nieobecny w „Słowie". Wyjechał gdzieś. Miał nadesłać odpowiedni artykuł. Czekaliśmy do ostatniej chwili. Numer już musiał iść na maszynę. Artykułu nie było. Redaktor „Słowa" — Stanisław Mackiewicz (Cat) zwrócił się zdenerwowany do mnie: „Panie kolego, niech pan ratuje — trzeba koniecznie napisać wstępniak świąteczny z łezką. Ma pan pół godziny czasu". Wszystko na świecie wznosi się na paradoksach: ja, który w redakcji „Słowa" cieszyłem się opinią zdecydowanego libertyna (trzeba wyznać, że było to pismo tolerancyjne), miałem napisać artykuł konserwatywno-katolicki.

Właściwie, mógłby go napisać sam Mackiewicz. Albo można go było zamówić uprzednio — na wszelki wypadek, podczas nieobecności Charkiewicza — u Jerzego Zagórskiego. Ale prawda: Zagórski kłócił się wówczas ze „Słowem" na tle pojmowania katolicyzmu: chodziło, zdaje mi się, o tzw. „integralność". Co się tyczy Mackiewicza, podejrzewam, że jego stosunek do katolicyzmu był mniej więcej taki, jaki jest dzisiaj Jerzego Zagórskiego — tj. polityczny, w staropolskim znaczeniu tego słowa, czyli grzeczny, układny, delikatny, elegancki, uprzejmy, gładki — w przeciwieństwie do słowa „niepolityczny", jak ono jest używane przez bohaterów „Trylogii", np.: „Nawet i niepolitycznie pannie na drabinie siedzieć, bo ucieszny może dać światu prospekt". Albo: „W Myszkiszkach i mieszkać niewygodnie i wychodzić z nich na świat niepolitycznie". Mackiewicz więc nie chciał po prostu napisać artykułu.

Co miałem robić? Trzeba było ratować honor „Słowa". Wobec tego, że jestem człowiekiem uczuciowym i szanuję tradycję, nie przyszło mi z trudnością napisanie felietonu gwiazdkowego. Wigilia i opłatek, Gwiazdka i pasterka, choinka i kolędy — to są sprawy serca, które nas nigdy nie przestaną wzruszać, a święto Dziecka, jakim jest Boże Narodzenie, pozostanie zawsze najpiękniejszym świętem chrześcijaństwa. Każdy z nas zachowywać będzie do śmierci wspomnienia dzieciństwa, gdy w zgiącym się blasku świeczek choinkowych śpiewał dziecięcym—proszalnym i rozrzewnionym głosikiem: „Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław krainę miłą: w dobrych radach, w dobrym bycie wspieraj jej siłę swą siłą; dom nasz i majętność całą, i Twoje wioski z miastami. A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami".

Napisałem tedy artykuł. Pamiętam jego tytuł: „Uśmiech wigilijny". Była w nim mowa o św. Mikołaju, którego nie znałem w latach swego dzieciństwa, w moich bowiem stronach rodzinnych przynosił dzieciom podarunki św. Józef, wyrugowany po tamtej wojnie przez św. Mikołaja; była mowa o tradycyjnej wieczerzy wigilijnej, składającej się niegdyś z trzynastu dań, śród których, w pewnych okolicach kraju, podawano śliżyki i sytę, zapomniane dzisiaj... Kto dziś wie, co to są śliżyki? To kluski kraj-jane z makiem i z miodem, sakramentalny dodatek do wigilii. A co to jest syta? Właśnie ona sprawiła mi wielki kłopot w artykule, z którego chciałem zrobić majstersztyk okolicznościowy. Dwa mamy w języku naszym podobne wyrazy: syto i syta. Syto w różnych dzielnicach Polski nosi różne nazwy; nazywają je również dziadem, lemieszem, prytochą, paparachą, sałamachą, prażuchą, tudzież (honny soit qui mal y pense) pierdziochą; jest to zwyczajnie mąka razowa rozgotowana z wodą na zupę albo uprażona mąka gryczana. Natomiast syta (rodzaju żeńskiego) to woda, zaprawiona miodem, albo też (nie wiem dokładnie, jak się to przyrządza) miód rozpuszczony i gotowany z korzeniami w wodzie. Otóż, gdzieniegdzie w Polsce ozdobą stołu wigilijnego bywała zawsze syta.

Prawdopodobnie zecer wraz z korektorem, czekając w napięciu na mój artykuł wigilijny, bo numer cały był już gotów, wybiegli na moment do pobliskiej knajpki „Pod bramką" na tradycyjną rybkę. Nazajutrz bowiem z rana, rzuciwszy się na artykuł, znalazłem wszędzie tam, gdzie napisałem „syta" — śmieszne słowo „sito". Ozdobą stołu wigilijnego było tradycyjne sito... Kto dziś podaje na wigilię sito?... Tak stało wszędzie w mym artykule. Zapewne oni myśleli, że ja, aby dodać sobie animuszu przy pisaniu, wybiegłem na rybkę i z normalnego ludzkiego sita zrobiłem dziwne słowo: syta.

Moi czytelnicy mieli używanie. Otrzymałem natychmiast kilka listów w tonacji: ha-ha-ha, hi-hi-hi. Przeciwnik „Słowa", wierny zawsze koniunkturze — czy to bebechowej czy też ozonowej — „Kurier Wileński", poświęcił mi najzjadliwszą, jaką sobie można wyobrazić, tzw. notatkę polemiczną w rubryce „na odlew" czy też „bez ogródek", w której dowodził, że sito jest tym samym, co przetak; że istnieje polskie przysłowie: wodę nosić przetakiem; że, oczywista, sitem nie dałoby się wylać wody z mego artykułu, ale wystarczy do tej czynności jednego porządnego kubła. I da capo — w tym stylu, cała olbrzymia „skleroza". Zgryzłem się tym wszystkim niezmiernie, i od tej chwili tym bardziej poprzysiągłem sobie, że nigdy nie napiszę artykułu okolicznościowego. W rzeczy samej. Weźmy dany wypadek, tj. Boże Narodzenie. Czy nie prościej i nie lepiej, zamiast pisać i czytać artykuł okolicznościowy, zaśpiewać sobie starą, serdeczną kolędę, rozkołysaną wspomnieniami i melodią? Choćby tę: „Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi. Wstańcie, pasterze, Bóg się wam rodzi... Ach, witaj, Zbawco, zdawna żądany, cztery tysiące lat wyglądany...

Jerzy Wyszomirski.

BITWA o Monte Cassino

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy druk fragmentów z książki p. t. „Bitwa o Monte Cassino" znanego pisarza polskiego Melchiora Wańkowicza wydanej w Rzymie w 1946 r.

„CHOLERNY ŚWIAT"

W nocy w „jaskini zbójów" dzieją się a dzieją jakoweś sprawy: zwalił się na sen mjr. Gnatowski, zmieniają się na służbie oficerowie operacyjni. Wszystko to się dzieje poza moją świadomością. Wyzywam, wysypiam nocą to, czym za dnia nasiąkły karty notatnika, muszę być ponownie na rano jak chłonna gąbka.

Kiedy się definitywnie budzę — światło bije w kwadrat wejściowy. W kwadracie stoi oficer operacyjny Kresowej, kpt. Żebrowski. i klnie „cholerny świat w kichę rabany"! Noc, w której miał służbę, była pełna głuchego niepokoju, nieufności obu stron co do intencji przeciwnika, patreli, grzmotów artyleryjskich. Tej doby z 13 na 14 maja od godz. 18 do 8 wykspensowano na działo po 152 pociski. Kiedy powietrze błyskało i groziło, patrole czołgały się niepewnie po zboczach i spadały z powrotem ku swoim, przy lada powiewie niepewności.

Lotnictwo przeniosło się całkowicie w dolinę Liri i wspierało jakieś angielskie sprawy. Z natarcia doliną Liri, od którego było zawisłe nasze powtórne uderzenie — też nic nie wychodziło. Żołnierz był trzymany w męczącym pogotowiu w jamach i szczelinach „desantowego przyczółka" i nic nie wiadomo było o terminie powtórnego natarcia.

Dlatego klął kapitan „w kichę rabanych Anglików", dlatego wydziwiał na własne patrole, że w nich „ikry nie ma".

Postanowiłem jechać do Karpackiej. Kiedy siadałem do łazika, doniesiono. że na nasz teren spadł angielski lotnik bez butów. Walczyli w sześć Spitfirów przeciw 15 Foke-Wulfom. Zestrzelonemu lotnikowi, gdy zlatywał ze spadochronem, wiatr zerwał buty. Inny, skacząc, wyrzucił paczkę zdjęć, którą znalazł 3 pułk artylerii przeciwpancernej. Przez dzień 13 maja i dzisiejszą noc z 13 na 14, zniszczono sześćdziesiąt ME 109. Cóż by to było z naszą Drogą Saperów, gdyby Niemcy mieli lotnictwo?...

...Dwie są rynny ściekowe krwi z terenów z których jadę. Krew angielska — spływa przeważnie przez Venafro, Capuę, Caserte — do Neapolu. Krew polska — przez Venafro, Campobasso, Termoli — pod Taranto, w sam koniec włoskiego buta...

ZACZĄŁ 16-ty BATALION

...Ta kanonada wieczorem 16 maja okazała się, wbrew oczekiwaniom stron, rozpoczęciem natarcia, mającego drugą fazę bitwy o Monte Cassino. Honor tego rozpoczęcia przypadł na 16 batalion, który płacił konto tych wszystkich dni krwawiącymi patrolami, a obecnie miał ruszyć.

Dowódca tego batalionu, mjr. Stańczyk, zarządził jeszcze 14 maja rano, zaraz po powrocie trzech nocnych patroli, „odprawę rozpoznawczą". Termin — raczej może rzadko spotykany w słownictwie wojskowym. Ale bo też i odprawa była, jaka nie często się zdarza.

Major zasiadł w płytkim schronie swego zastępcy, kpt. Bieganowskiego. Tam na odprawę mają się zebrać wszyscy oficerowie baonu do dowódców plutonów włącznie. Ale, że schron kpt. Bieganowskiego był widoczny przez Niemców, więc na tę odprawę dobiegało wąską ścieżyną po dwóch, a nie mogąc się zmieścić w schronie, zapadali za najbliższym kamyczkiem. Kiedy już wszyscy zalegli w krąg po dziurach major wzywa po dwóch kolejno do schronu, przez szczelinę pokazuje ich kierunek natarcia, po czym każda dwójka wychodziła w teren i rozpoznawała swój odcinek.

Schrony z kamieni widać na całej długości. Patrole ustaliły gniazda sześciu cekaemów niemieckich, ustaliły, że punkt obserwacyjny niemiecki funkcjonuje w pobliżu zrujnowanego domku, dawnej siedzibie kpt. Zwickenpfluga; domek w poprzednim natarciu przechodził z rąk do rąk.

Jednym słowem — Niemcy znów mocno obsadzili teren i trzeba będzie ich od początku wykurzać.

Po południu mjr. Stańczyk zarządza formowanie grup szturmowych. Każda kompania wydziela trzy takie grupy. Każda grupa dzieli się na grupę uderzeniową i grupę wsparcia. Grupa uderzeniowa składa się z trzech podgrupek, każda po 4 — 5 ludzi, działających samodzielnie. Te podgrupy są zaopatrzone: w lont wybuchowy, który rzuca się na teren na 60 metrów w przód i odpalając detonuje się po ożonie miny, w rury Bengalora do robienia przejść w drutach kolczastych, w ładunki ulowe dla niszczenia schronów niemieckich, w nożyce do cięcia drutu kolczastego, w nakłuwacze do wykrywania min, w platy służące do rozwalania schronów, w tomigany dla wystrzeliwania ludzi, w granaty obronne, zaczepne i zapalające, w pociski smugowe dla wskazywania celów. Grupom wsparcia pozostawiono wszystkie lekkie karabiny maszynowe (elkaemy), garłacze (karabiny, wyrzucające granaty) i lekkie dwucalowe moździerze piechoty. Żołnierze pozostali w kompaniach i nie przydzieleni do grupy, mają iść w drugim rzucie i wygniatać to, co pozostanie po przejściu szturmowców.

Bardzo to wszystko skomplikowane, podczas, kiedy stara zasada mówi, że działania nocne, im trudniejszy teren, tym muszą być prostsze:



W Karpackiej porosły wszystkim dwutygodniowe brody.

1. Natarcia muszą być wykonane tylko na przedmioty bliskie, dobrze rozpoznane za dnia — ale jak to wykonać, kiedy za Widmem leżą nierozpoznane Małe St. Angelo i 575, które trzeba będzie zdobyć, jak to zrobić, kiedy za Małym St. Angelo leży nierozpoznane Duże St. Angelo, które również trzeba będzie zdobyć, bo inaczej się nie utrzymamy?

2. Strzelcy muszą iść rojem koło swego dowódcy — ta piękna zasada się kończy, kiedy wyrżnie pierwszy pocisk i ludzie w ciemności rozlecą się ze skałki.

3. Przebiegi muszą być małe — ale cóż począć, kiedy amfiteatr jest obszerny?

4. Żołnierz nie może być zbytnio obciążony — a któż mu przy zagradzającym ogniu artyleryjskim doniesie amunicję?

No, trudno — i tym razem łatwo nie będzie. Ale czołgi już mamy wwindowane, Anglicy obeszli, Niemcy jeden baon musieli przed nami ująć.

A grunt — że poznaliśmy ich taktykę i idący w przedzie nie będą się zatrzymywać przy czyszczeniu schronów, pozostawiając tę robotę idącym za nimi.

16 maja po południu już wiadomo, że uderzamy wkrótce.

O godz. 18 mjr. Stańczyk robi ostatnią odprawę. Dowódcy kompanii wracają do swoich szczelin z nakazem, aby wszystkim wolnym od służby żołnierzom kazali spać.

Żołnierze wiedzą co to znaczy i kapelan batalionu, ks. Sławik (syn górnika, absolwent przedwojennej podchorążówki piechoty, którego wojna złapała na jakimś zjeździe młodzieży w Stanach Zjednoczonych), przechadzając się z penitentami po osłoniętym od strzałów kawałku Drogi Saperów — spowiada. Ksiądz kapelan ma na piersiach puszkę z komunikantami. Kiedy w Polsce szedł do chorego, poprzedzał go chłopak z dzwonkiem i ludzie klękali. W te straszne czasy Bóg, który się urodził w stajence, zeszedł do puszki schowanej pod mundurem.

Ks. Sławik pod mundurem chowa torebkę, zawieszoną na piersi; są w niej ponotowane nazwiska tych, którym udzielił pociechy religijnej przed bitwą. Każdy go bowiem prosi, aby powiadomił rodzinę w Kraju, że umarł, pojednany z Bogiem. Ksiądz więc umyślił uwiesić sobie te adresy na piersi, jeśli polegnie, to juścić zna-dą i przekażą sztafetą dobrej woli — aż pod każdy próg w Polsce.

Ppor. Piotrowski nie może zasnąć jak większość żołnierzy. Wykrwawili się w tych ciągłych patrolach i na pozycjach bardzo: ciągły szum w asnych pocisków, ciągłe wyczekiwanie, że padnie pocisk nieprzyjacielski, chłód, brak pledów, bezsenność...

Ppor. Piotrowski pyta ppor. Chylińskiego, ile czasu jeszcze wytrzyma?

Ppor. Chyliński sądzi, że dwa dni.

— Ja już nie wiem, czy wytrzymam dwie godziny — mówi z rozdrażnieniem ppor. Piotrowski.

Kpt. Łempicki, dowódca 4 kompanii, który do połowy listopada 1939 r. prowadził partyzantkę w Polsce, po czym swoją grupę piątkami przeprawił na Węgry, zaległ w pełnym wyekwipowaniu w szczelinę i zasnął.

Tymczasem w pół godziny po odprawie, staczając się szczeblami rozkazodawstwa, spada na mjr Stańczyka rozkaz Korpusu, że ponieważ nieprzyjaciel może się oderwać, należy być z nim w nieprzerwanym kontakcie energicznego patrolowania.

Stańczyk staje nad szczeliną Łempickiego:

— Już!...

I podczas kiedy kompania podrywa się na nogi, w ciągu tych pięciu minut, po upływie których dowódcy plutonów zameldowali gotowość, przekazuje mu zadanie:

— Natrzeć całą kompanią na północną (mniej rozpoznaną p. m.) część Widma. Wesprą cztery dyony artylerii. Wybić obsady bunkrów i zostać na miejscu. W razie powodzenia — wepchną się jeszcze ze dwie kompanie batalionu .

— Podporucznik Piotrowski! Pański pluton rusza pierwszy.



Piętnasty Pułk Ułanów Poznańskich „to chłopaki jak szóstka".



13 i 14 maja wykspensowano na działo po 150 pocisków.



Celowniczowie sprawdzają celowniki—Gotowe!

Artyleria nasza — już gra. I o godz. 18.45. w 15 minut po otrzymaniu przez dowódcę baonu rozkazu od dowódcy natarcia, żołnierze 1 plutonu kompanii pod dowództwem ppor. Piotrowskiego ruszają; żołnierz za żołnierzem co 6 — 7 kroków; ruszają z ulgą, bo na razie nic nie wydaje im się tak straszne, jak tu siedzieć i czekać, że ich pociski nieprzyjacielskie wykruszą.

Zastępca kpt. Łempickiego, ppor. Chirkowski, zostaje, by dojrzeć wyruszenia całej kompanii.

Nim doszli na podstawę wyjściową, kpt. Łempicki obliczył, że na nieduże stosunkowo przedpole padło około 200 pocisków artylerii własnej — chyba większość min eksplodowała? Kpt. Łempicki pamięta doświadczenia tamtego natarcia — kiedy na wąskich otaśmowanych ścieżkach stłoczone kompanie były masakrowane — każe poniechać rozminowywania, iść tyralierką — szeroko rozrzuconymi grupami.

Tak jak było umówione: pierwszy gwizd — przygotowanie do natarcia; drugi — „ruszać"!

Ruszyli szybko — i zaraz na minach padło trzech. Dziewiętnastolatka Sokołowskiego wyrzuca na dwa metry w górę.

(ciąg dalszy w następnym numerze).

Melchior Wańkowicz.



Czołgi mamy już wwindowane.

Masai

Inż. Wiktor Ostrowski, znany alpinista polski, — którego druk reportażu z wyprawy na szczyty Kilimandżaro zakończyliśmy w numerze dzisiejszym, jest autorem książki, która niebawem ukaże się na półkach księgarskich, p.t. „Safari" przez „Czarny Ląd". Z książki tej podajemy rozdział p.t. „Masai".

Bill jest nie tylko rasowym dziennikarzem, ale również nadzwyczaj systematycznym człowiekiem. Jeszcze w Kairze ślęczał długo nad rozmaitymi encyklopediami i księgami zawierającymi historię Afryki Wschodniej i jej mieszkańców. Układał plan i zestawił tematy godne opracowania już w terenie.

W wyniku tych „badań" powstał długi spis, a w tym spisie, na miejscu honorowym, był taki temat:

„Masai. Ich życie, zwyczaje, religia, pochodzenie...".

Nic więc dziwnego, że w naszych wędrówkach po Czarnym Ladzie stale szukaliśmy czegoś — co miałoby jakiś związek z tym szczepem. Wynik jednak był więcej niż mizerny.

Na etnograficznych mapach Afryki, próbujących kreskami ustalić obszary zamieszkałe przez rozmaite szczepy (a jest tego prawdziwy kalejdoskop!), ogromna przestrzeń ciągnąca się aż spod równika, przez Kenyę do południowej Tanganyiki, zaznaczona jest rozstrzelonym i rozciągniętym napisem:

„S t e p y M a s a i".

I szukaj człowieka na obszarze tysiąca mil tych plemion, mających zresztą brzydki zwyczaj niepopasania długo na jednym miejscu!

Któż jednak mógłby nam udzielić lepszych informacji o tym nieuchwytnym plemieniu, jak nie doktór Leaky? „Biały Afrykańczyk?

Korzystamy z tego, że wiezie nas do swoich odkrywek archeologicznych na dnie Great Rift Valley. Stary klekot wóz — „safari" pędzi jak szalony przez wypalony szaro-złoty busz. Bill zapuszcza haczyk:

— Czy prawdą jest, doktorze, że Masai są najciekawszym szczepem murzyńskim w całej Afryce Wschodniej?

Wzrok doktora na chwilę odrywa się od tak zwanej „drogi" i kpiąco, przynajmniej mnie się tak zdawało, spoczywa na siedzącym obok Billu.

— Przede wszystkim, mój drogi, należy rozważyć zagadnienie: czy Masai w ogóle można nazwać szczepem murzyńskim...

— Może to nie Chamici? Czy ja wiem, nie bardzo znam się na tym. Język ich — nie ma nic wspólnego z grupą dialektów murzyńskich „bantu". Jak będziecie mieli możność spotkać się z Masai, zwróćcie uwagę, że często wśród nich możecie spotkać głowy — jakby ze staroegipskich rzeźb kopiowane! Podłużne czaszki z wysokim, cofniętym w tył czołem. Cienkie wargi. Dziwni ludzie! Nazwać ich jarosza mi — byłoby grubą przesadą, nigdy bowiem nie jedzą żadnych jarzyn i owoców. Żywią się mięsem, mlekiem i drwią. Mają dziwne zwyczaje, ktoś porównał te zwyczaje ze spartańskimi, ale może to zbyt śmiałe porównanie. Musi to wam opowiedzieć ktoś lepiej znający ich niż ja. Są pasterzami — koczownikami. Wiecznie wędrują w poszukiwaniu lepszych pastwisk. Teraz tu mamy suchą porę. Widzicie — naokoło wszystko suche jak pieprz, trudno ich tu spotkać. Ale może będziecie mieli szczęście. Tylko —

Doktór uśmiechnął się chytrze:

— Muszę was uprzedzić, że zbytnią gościnnością nie grzeszą, a prócz tego cuchną w sposób niesamowity!

Zmieniliśmy temat wracając znów do wykopalisk doktora. W pewnej chwili zgrzytnął hamulec. Wskazując w dół porośniętego rzadkimi krzakami zbocza Leaky powiedział:

— Manyatta, widzicie?

Nie widziałem nic, suche kolczaste krzaki, smętnie wyszarzałe w upale, pozbawione liści akacje afrykańskie — nic więcej. Zresztą — co to jest „manyatta"?

— „Manyatta" — to koczowisko Masai. Chodźcie zobaczyć. Nie mam jednak nadziei, że zastaniemy tam jaką dwunożną istotę. Przecież o tej porze roku, w promieniu co najmniej pięćdziesięciu kilometrów nie znajdzie się ani kropli... wody.

Nic dziwnego, że nie zauważyłem „manyatty" z drogi, zlewa się doskonale z otoczeniem. Jest to koło ułożone ze ściętych kolczastych krzaków — kolcami na zewnątrz. Prawdziwy zasiek wysokości do 2 metrów.

— Widzicie, tłumaczy doktór, Masai są odważnymi i przebiegłymi myśliwymi. Ale w buszu są również myśliwi... polujący na Massai a raczej na ich bydło. Są to lamparty a przede wszystkim lwy. To kolczaste ogrodzenie stanowi właśnie ochronę przed takimi drapieżcami. W swoich wędrówkach, zatrzymując się w upatrzonym miejscu na krótki okres czasu — Masai nigdy nie omieszkają otoczyć się takim zasiekiem. Swoje „domy" budują wewnątrz, jeżeli, w ogóle to coś — domem i budownictwem nazwać można"...

Okrążamy „manyattę" szukając wejścia. Jest to po prostu wąska przerwa w zwale kolczastych gałęzi. Ale i ona zamknięta



Wódz plemienia — głowa jakby kopiowana ze staroegipskich rzeźb.

gęsto zasnuł ją pająk i sam, ogromny i kolorowy, rozczapierzył się pośrodku na czatach. Jest wielkości sporej dłoni, a sam tułów pozbawiony nawet długich łap — na pewno zmieściłby się w dużym pudełku od zapałek. Zastanawiamy się przez chwilę: czyby nie wzbogacić takim okazem zbiorów muzeum w Nairobi, ale nie posiadamy żadnego odpowiedniego do przechowania pająka naczynia, no i... gołą ręką łapać takie bydlę wskazanym bynajmniej nie jest!

Koczowiska Masai, zawsze są rozsadnikiem chmary much — tłumaczy doktór — i w ich bliskości taki żarłok ma swoje tłuste lata! Ale miałem rację, że Masai już dawno stąd wywędrowali, pająk zdążył gęsto zasnuć wejście.

Paroma uderzeniami kija „otwieramy" sobie drogę i płoszymy wielonożnego potwora.

Wnętrzem „manyatty" byłem rozczarowany: po prostu klepisko pokryte grubą warstwą zaschłego krowiego nawozu. Musiało być kiedyś wstrętną gnojówką. Pare chatek... ale rację miał doktór mówiąc, że właściwie nawet chatkami tego nazwać nie można. Proszę sobie wyobrazić szałas— jaskinię o płaskim zupełnie dachu, byle jak z gałęzi sklecony i oblepiony krowim nawozem. A wysokość takiej „budowli" nie przekracza jednego metra, najwyżej — może — metr dwadzieścia! Do „domu" więc wczołguje się na czworakach, i nawet siedzieć wyprostowanym w nim nie można.

Doktór zachęca do obejrzenia wnętrza, ale przedtem kołacze tam kijem, syczy i w ogóle robi dużo hałasu.

— Co za czary doktór wyrabia? — śmieję się.

— Widzisz, nigdy nie wiadomo—czy w takim opuszczonym pałacu nie zakwaterował się jaki wąż lub zgoła cała rodzinka. W ciemnościach napewno zobaczy i zaatakuje cię wcześniej, nim go dostrzeżesz a zastrzyk surowicy mógłbyś dostać dopiero w... Nairobi. Ostrożność nie zawadzi..

Wnętrze chałupki było puste. Absolutnie puste. Tylko jakiś mizerny ślad po ognisku, którego dym musiał dawniej wypełniać całe wnętrze i wychodzić jednym otworem — to znaczy drzwiami.

— To jest sypialnia — tłumaczy Leaky.

Wierzę mu na słowo, bo to miejsce, gdzie bądź co bądź człowiek spędza niepoślednią część swego życia — właściwie niczym nie różni się od... gnojowiska podwórza.

— Warto było obejrzeć tę opuszczoną „manyatte" — mówi doktór — bo już od dawna opuszczona, w zamieszkałej nie wytrzymalibyście tak długo — wykurzyłyby was bardzo prędko... pchły!

Doktór śmieje się wesoło:

— Wiecie, kiedyś po takiej wizycie musiałem skoczyć do buszu i rozebrawszy się do naga wytrzepywać ubranie! Miliony! ba! — miliardy pcheł!"

Żywych Masai zobaczyliśmy i życie ich poznaliśmy znacznie później.

Miasta można zwiedzać z planem w ręku — w podróżach po krajach dobra mapa jest cenną zdobyczą — ale w Afryce cenniejszą będzie wskazówka udzielona przez człowieka „miejscowego" i oparta na drogowskazach „naturalnych".

— Chcecie zobaczyć większe skupiska Masai? Porozmawiać z człowiekiem, który naprawdę zna ich zwyczaje i życie? No to takim jest bezwarunkowo „D. C." (District Comissioner) mr. X. Y. Traficie tam tak: trzeba jechać głównym traktem Nairobi—Uganda. Z płaskowzgórza Mighland'u zjedziecie na dno wielkiej doliny. W pewnej chwili będziecie mieli po prawej stronie blisko drogi strome, zarośnięte buszem zbocze. Po lewej goły step. C. d. n.

Wiktor Ostrowski

NA LODOWCACH KILIMANDŻARO

(Dokończenie).

Na Kilimandżaro (na Pamirze również) „Nieves Penitentes" są znacznie mniejszej wielkości, sięgają zaledwie do wysokości jednego metra, ale przy trawersowaniu pokrytego nimi zbocza czy lodowca — stanowią dużą przeszkodę.

Bardzo charakterystycznymi dla Kilimandżaro są lodowce stojące na dnie ogromnej konchy krateru. Nie popełniam błędu używając słowa „lodowce stojące", bo one tam właśnie nie zalegają zwartą masą a stoją jakby ogromnymi górami lodowymi — stoją osobno. Są to już prawdziwe „trupy" lodowców.

O godzinie dziewiątej z minutami stanęliśmy wreszcie na osławionym czubku „Kaizera Wilhelma". Blisko trzy godziny zużyliśmy jednak na pokonanie dystansu zaledwie trzech kilometrów, brzegiem krateru, przekraczając po drodze szereg mniejszych szczytów i parę lodowców. Trzeba pamiętać, że wszystko to się działo na wysokości blisko 6.000 metrów, więc... było prawdziwą mordęgą. By robić zdjęcia musiałem zawsze odczekać parę minut, doprowadzić bijące na alarm serce do porządku, zwalczyć drżenie rąk!

Sam szczyt — nic nadzwyczajnego! Ot!— wyższy o parę metrów od innych wzniesień brzegu krateru! Ale był przecież naszym celem! Szczyt!!!

I tu, w głębi Afryki, gdzie przepaść dzieląca „białego" od „czarnego" jest większa od wszystkich znanych w geografii głębin — stała się rzecz niezwykła, a jednocześnie taka... prosta: czarny Johanne wyciągnął do mnie rękę. Zwykły gest pozdrowienie alpinistów na szczycie, na wszystkich szczytach, na całym świecie...

Ale skąd on, Murzyn ze szczepu Kykuya czy Swahili, mógł o tem się dowiedzieć?

Z największą przyjemnością, i bardzo serdecznie, tę czarną dłoń uściskałem Szczyt!

Co czułem wtedy, na Kibo? Czy zachwycałem się widokiem, czy byłem dumny z osiągnięcia wierzchołka? Nic podobnego. Zdobywałem w swym życiu szczyty znacznie wyższe, bywałem pierwszym „zdobywcą" w dosłownym wyrazu tego brzmieniu, i prawo zatknięcia barw mego kraju mnie wówczas przysługiwało, wspinałem się również na szczyty co kształtem swym smukłe katedry gotyckie przypominały, nie taką... „krowę" jak Kibo! Nie, dumny nie byłem. Byłem po prostu szczęśliwy.

Będę jeszcze po górach chodził! Będę zaznawał rozkoszy prawdziwej walki o prawdziwy szczyt! Jakiż piękny był dla mnie ten dzień na Kibo!

Chciałem nawet spędzić tam noc, by móc wypocząć należycie, ale obejrzawszy oczekujących nas jak zbawienia zmarzniętych murzynów, zobaczywszy ich wyczerpanie, a prócz tego brak wody i paliwa — zmieniłem plan. Dwie godziny leżenia, zjedzenia puszki kompotu (kochany Fatali już ją otworzył!) i — w dół!

Już było zupełnie ciemno gdy doszliśmy do miejsca naszego poprzedniego noclegu, do wody.

Gdy potem przechodziliśmy znów pas łąk alpejskich, ze zdziwieniem patrzałem na tragarzy, którzy nazbierali całe naręcza kwiatów przypominających nasze nieśmiertelniki. Już na dole — zgotowali oni nam owację. Uwili wieńce i przystroili tak nasze szerokoskrzydłe kapelusze. Okazuje się, że to jest piękny zwyczaj miejscowych szczepów.

A gdym tak szedł przez las — myślałem o... pierwszym Polaku co lat temu trzydzieści dotarł do krateru Kibo, o profesorze Antonim Jakubskim. Ustanowił on wtedy, na Kibo właśnie, polski rekord wysokości zdobytej w górach. I przypomniałem sobie jak to po powrocie z Kordylierów Argentyny, z And, po pobiciu tego rekordu na Mercedario i Aconcagua o przeszło 1.000 metrów — miałem odczyt na uniwersytecie poznańskim. A w pierwszym rzędzie słuchaczy siedział wtedy profesor Jakubski. I mówiąc — do niego mówiłem...

Nie wiem, czy za czasów jego wejścia był już zwyczaj „Wieńca Kibo", czy on wtedy wracał w doliny tak kwiatami ustrojony, ale — akurat przed moim wyjazdem do Afryki — dowiedziałem się o innym „szczycie" przez niego zdobytym. Dowiedziałem się, że był przez szereg lat więźniem najstraszniejszych obozów koncentracyjnych, przeszedł przez piekło i katorgę nieludzką. A po oswobodzeniu — wyszedł — nie złamany, nie zmęczony i łaknący „odżycia" — a młody jak zawsze duchem, pełen zapału i energii. I natychmiast zaczął rozglądać się za polem do pracy!...

To jest „szczyt"! Nie mierzy się go wprawdzie wysokością i nie określa się trudnościami alpinistycznymi, ale jest „wyższym" nieskończenie od Kibo i trudniejszym stokrotnie.

I dlatego swój „wieniec z Kibo" przechowuję pieczołowicie, do dalekiej Europy wiozę. Może spotkam się gdzie z profesorem. Wtedy powiem mu z szacunkiem najgłębszym:

— Pozwoli pan, drogi profesorze, że wręczę panu te nieśmiertelniki z Kibo?... I jako wspomnienie z dawnych lat — i jako „wieniec z Kibo" za szczyt, za „rekord"'... trudny do pobicia...

Wiktor Ostrowski.

Na szczycie Kibo.



ZA KULISAMI KONFERENCJI W TEHERANIE

według relacji Elliota Roosevelta

Niedawno ukazała się w Stanach Zjednoczonych książka Elliota Roosevelta, syna zmarłego prezydenta, pt. „As he saw it", w której autor, bliski współpracownik swego ojca, daje żywy komentarz najważniejszych wydarzeń międzynarodowych w okresie ostatniej wojny, komentarz śmiały, obficie okraszony niedyskrecjami na jakie pozwalało autorowi jego nieoficjalne stanowisko, materiał miał niezwykle obszerny, znajdując się w ośrodku pierwszoplanowych osób i najdonioślejszych wypadków. Kulisy konferencji w Teheranie, obchodzącej swe trzechlecie z końcem listopada, odsłaniają niżej przytoczone wyjątki.

Siedzieliśmy w salonie apartamentu, oddanego do dyspozycji mego ojca w budynku poselstwa rosyjskiego w Teheranie. Konferencja, dla realizacji której ojciec mój dłużej niż rok pracował, była właśnie w pełnym toku.

— Jak on wygląda, ojcze? Czy może wcale go nie widziałeś?

— Wuj Joe? *) Oczywiście, że widziałem go. Chciałem go prosić do siebie w sobotę wieczorem na obiad, ale zawiadomił mnie, że czuje się zmęczony. Kiedy tu zamieszkałem, odwiedził mnie, by mię pozdrowić. Było to wczoraj po południu. Siedział na tym fotelu, na którym ty teraz.

— A co z P. M.? **).

— Za pierwszym razem byliśmy tylko my dwaj obecni, tj. Wuj Joe i ja. Oczywiście jego tłumacz Pawłow był także przy tym.

Spytałem czy w spotkaniu tym brał również udział Charles Bohlen, rzeczoznawca w sprawach rosyjskich naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

— Proponowano mi wezwać go również — odrzekł ojciec uśmiechając się — ale powiedziałem sobie, jeśli z jego strony jest tylko tłumacz, to skoro zrezygnuję z Bohlena, będzie to dowodem mego zaufania, dowodem, że nie żywię podejrzeń. I w rzeczy samej, to ułatwia pracę, oszczędza czas.

Skinąłem głową potakująco. Była to słuszna myśl. Szczególnie wobec faktu, że Stalin sam przyjął względem Anglosasów postawę pozbawioną nieufności.

— O czym rozmawialiście? Czy też to może tajemnica państwowa?

— Bynajmniej — odrzekł ojciec — wymieniliśmy zwykłe zwroty grzecznościowe, w rodzaju, „czy jest Pan zadowolony z zajmowanego apartamentu?", „wdzięczny jestem Panu, że był Pan uprzejmy dać mi do dyspozycji główny budynek poselstwa; jakie są nowości z frontu wschodniego?". Nie miałem ochoty tak z punktu rozpoczynać rozmowy o sprawach zasadniczych.

— A więc ocenialiście się wzajemnie?

Ojciec zmarszczył brwi.

— Tego bym nie powiedział. Poznawaliśmy się. Próbowaliśmy ustalić wzajemnie swój typ psychiczny.

— I jaki typ psychiczny on przedstawia?

— Hm... Ma donośny głęboki głos, mówi z rozwagą, robi wrażenie że jest bardzo, bardzo pewny siebie, to znaczy, świadomy siebie — w ogóle robi silne wrażenie, powiedziałbym.

— Podoba ci się?

Skinął dobitnie głową, potakując.

Stalin był tylko kilka minut z ojcem, poczem udali się na pierwsze plenarne posiedzenie konferencji Wielkiej Trójki. Stalinowi przedstawiono kopię planu „Overlord" (inwazja kontynentu europejskiego). Spojrzał na plan, postawił jedno czy dwa pytania, po czym spytał wręcz:

— Kiedy?

— Pewien jestem — mówił dalej prezydent Roosevelt — że Stalin i ja porozumiemy się ze sobą. Znaczna część nieporozumień i nieufności będzie w ciągu najbliższych dni usunięta i jak wierzę, raz na zawsze. Co do dotyczy Wuja Joe i Winstona...

— Tu nie jest tak dobrze, co?

— Użyję wysiłków aby to wyrównać. Oni są tak odmienni. Ich idee, temperamenty..

Ojciec opowiedział mi o obiedzie jaki poprzedniego wieczora wydał dla Stalina i Churchilla oraz najwybitniejszych współuczestników konferencji.

Z rozbawieniem wspomniał pewną cechę charakteru Churchilla. Nosił on zwykle, podczas konferencji w Casablance granatowe ubranie w paski, w Kairze biały letni garnitur. Teraz jednak zobaczył Stalina w mundurze wojskowym. Nie chciał pozostać za nim w tyle i ubrał się w mundur wysokiego oficera R. A. F.

Chciałem wiedzieć jakie tematy polityczne poruszane były na konferencji.

— Można powiedzieć, że wszystkie, jakie nam przyszły na myśl.

Roosevelt wymienił zagadnienie pokoju, organizacji Narodów Zjednoczonych, jednomyślność co do tego, że pokój zależny będzie od współpracy Trzech Wielkich Mocarstw, a mianowicie do tego stopnia, że negatywny stosunek jednego z nich w jakiejkolwiek poważnej sprawie ma oznaczać veto. Ojciec zaznaczył, że sprawa veta musi być jeszcze wnikliwie rozważona, ale oświadczył, że on sam jest za utrzymaniem prawa veta, a to w interesie jedności Trzech Wielkich Mocarstw.

Tego dnia jeszcze Elliot Roosevelt został osobiście przedstawiony marszałkowi Stalinowi.

Tak opisuje swe wrażenia:

— Opowiadano mi, że Stalin jest niewielkiego, mniej niż średniego wzrostu, ale mimo to jego postać wywarła na mnie silne wrażenie. Czułem się zresztą zupełnie nieskrępowany, ponieważ przywitał mnie bardzo życzliwie. Gdy przemawiał — przedtem poczęstował ojca i mnie rosyjskimi papierosami — mimo spokojnego, głębokiego i jednostajnego tonu jego głosu i niewysokiego wzrostu, odniosłem wrażenie, że posiada on niezwykle dynamiczny charakter, odznaczający się wiarą w siebie i pewnością siebie. Pojąłem sens jego imienia: stal.



Konferencja w Teheranie. Na zdjęciu Churchill, Roosevelt i Stalin w otoczeniu sztabów. (Life).

Po konferencji Elliot Roosevelt obecny był na uroczystości ofiarowania przez Churchilla miecza w imieniu króla Anglii marszałkowi Stalinowi a raczej na jego ręce ludności Stalingradu.

O treści obrad wieczornego posiedzenia Wielkiej Trójki opowiadał synowi Roosevelt odpoczywając przed obiadem, który wydawał tegoż wieczora marszałek Stalin. W toku rozmowy prezydent dzielił się z synem obserwacjami na temat marszałka Stalina:

— Ten człowiek robi całą robotę. Cały czas utrzymuje w polu widzenia swój cel, do którego zmierza. Przyjemnością jest z nim pracować. Z tematu zasadniczego nie schodzi na zagadnienia uboczne. Ujmuje temat, który jest przedmiotem dyskusji i trwa przy nim.

— „Overlord"?

— Tak, o tym właśnie mówił; my zresztą również.

— Brytyjczycy zapewne wciąż jeszcze podnoszą sprzeciwy?

— Winston mówi teraz o równoczesnym przeprowadzeniu dwóch operacji. On wie, przypuszczam, że przeciwstawianie się inwazji na zachodzie nie ma sensu. Generał Marshall posunął się do tego, że w pewnej chwili spojrzał tak na Churchilla, jakby nie wierzył własnym uszom.

— Ojciec śmiał się serdecznie, gdy przypomniał sobie tę scenę. — Jeżeli jest generał amerykański, którego Winston nie cierpi, jest to z pewnością generał Marshall, a mianowicie dlatego, że Marshall ma słuszność. Mam nadzieję, że przyjdzie dzień kiedy wszyscy Amerykanie zrozumieją, co zawdzięczają gen. Marshallowi Nikt mu nie dorównuje. Nikt.

— Cóż więc Churchill rozumie przez dwie równoczesne inwazje, ojcze?

— Jedną na zachodzie i drugą... zgadnij gdzie?

— Na Bałkanach?

— Naturalnie! — i znów się uśmiechnął, wspominając przebieg konferencji.

Poczem, wspierając się na łokciu zwrócił się ku mnie i rzekł:

— Wiesz Elliot, te plenarne posiedzenia mają pewną nadzwyczajną właściwość. Cały czas gdy P. M. mówił o inwazji na Bałkanach, wszyscy zebrani wiedzieli, co w istocie miał na myśli. Mianowicie, że oto mu przede wszystkim chodzi, aby przebić się do Austrii i Rumunii a jeśli się da nawet do Węgier, słowem, aby Czerwoną Armię powstrzymać w ten sposób od zajęcia Europy Środkowej. Stalin o tym wiedział, ja także, wszyscy w ogóle wiedzieli o tym.

— Ale nie powiedział tego wręcz?

— Oczywiście, że nie. Jestem przekonany, że Wuj Joe był świadomy możliwości komplikacji politycznych, gdy przedstawiał nam korzyści militarne ofensywy na zachodzie oraz ujemne strony mogące wyniknąć z rozdzielenia naszych sił na dwie części. Nie padło jednak z jego ust ani jedno słowo na temat tych komplikacji.

— Ale czy Churchill w rzeczy samej nie...

— Czy nie ma racji, chciałbyś wiedzieć? Czy nie byłoby dla nas dobrze uderzyć również na Bałkanach? Elliot, nasi szefowie sztabu są tego zdania: najprostsza metoda wybicia możliwie wielu Niemców przy możliwie najmniejszych własnych stratach to zorganizowanie jednej tylko wielkiej ofensywy i uderzenie wszystkimi siłami jakimi rozporządzamy. Ta myśl mi przyświeca i przyświeca również Wujowi Joe. Przyświeca również naszym generałom. Byli tego zdania już od początku wojny, a jak przypuszczam, nawet wcześniej: od czasu gdy nasz Wydział Studiów Wojennych rozpoczął badania, kiedy, jak i co będziemy czynić. Ich punkt widzenia zdają się podzielać przedstawiciele Czerwonej Armii. Tak to jest: tą drogą najprędzej osiągniemy zwycięstwo.

— Jedno jest moim zdaniem pewne: skoro ofensywa na zachodzie i tylko na zachodzie, z pominięciem marnotrawstwa materiału ludzkiego i technicznego w górach Bałkanów, daje możność uratowania życia wielu Amerykanów i zakończenia wojny w jak najkrótszym czasie, będziemy obstawali przy tej jednej ofensywie. — Uśmiechnął się trochę złośliwie. — Nie widzę w gruncie słusznej przyczyny, byśmy mieli ryzykować w grze życie Amerykanów poto tylko aby ochraniać na kontynencie europejskim rzeczywiste, czy też urojone interesy brytyjskie. Prowadzimy wojnę i zadaniem naszym jest wygrać ją możliwie prędko, bez angażowania się w awantury. Sądzę... mam nadzieję, że on teraz ostatecznie pojął co my myślimy.

Późnym wieczorem tegoż dnia odbyło się przyjęcie w poselstwie radzieckim. Dla Elliota Roosevelta było w tym, jak dla każdego Amerykanina, dużo egzotyki.

— Pod koniec posiłku Wuj Joe uniósł się z krzesła, aby wznieść jeden ze swych licznych tego wieczora toastów. Toast tym razem dotyczył niemieckich przestępców wojennych. Nie mogę, ze względu na okoliczności, przypomnieć dosłownie brzmienia jego słów, lecz ogólny ich tenor był następujący: „Piję za możliwie szybki wymiar sprawiedliwości w stosunku do wszystkich niemieckich przestępców wojennych który spełniony być winien przez pluton egzekucyjny. Piję za nasze zdecydowanie, by po ujęciu tych przestępców możliwie prędko ukarać ich śmiercią, a przy tym aby to dotyczyło wszystkich, a już najmniej 50.000".

Natychmiast podniósł się Churchill. (Nawiasowo wspomnieć wypada, że przez cały wieczór Churchill nie pił wódki, lecz specjalnie dla niego zarezerwowane brandy, podejrzewam przy tym, że był mniej niż zwykle usposobiony do przemawiania).

— Podobne postępowanie — wykrzyknął — absolutnie się nie godzi z brytyjskim poczuciem sprawiedliwości. Naród brytyjski nigdy nie pozwoli na podobne morderstwo zbiorowe. Chcę wykorzystać sposobność, by wyjaśnić, że według moich pojęć, nikt, hitlerowiec, czy nie, nie może być zlikwidowany w postępowaniu zbiorowym.

Obserwowałem w tym czasie Stalina. Zdawał się doskonale bawić, ale starał się okazywać zewnętrznie powagę. Mrugał trochę oczami, gdy słuchał enuncjacji Churchilla i w tonie pojednawczym kwitował jego argumenty, jakby nie zdając sobie sprawy ze złego humoru premiera. W końcu zwrócił się do ojca, pytając o jego zdanie.

Ten z trudem tylko mógł ukryć swe rozbawienie, sądził jednak, że rozmowa może przybrać zbyt kłopotliwy obrót, toteż uznał za słuszne wprowadzić do tematu ton niefrasobliwy i zaczął:

— Zdaje się, że zadaniem moim będzie jak zwykle, pośredniczyć w rozbieżności zdań. Jasne jest, że musi być znaleziony kompromis między Pańską opinią a zdaniem mego przyjaciela, premiera. Moglibyśmy więc rozważyć propozycję, by nie 50.000 lecz mniejszą liczbę przestępców wojennych załatwić sumarycznie. Powiedzmy tylko 49.500.

Amerykanie i Rosjanie śmieli się. Brytyjczycy powstrzymali się od śmiechu, gdyż gniew Churchilla nie uszedł ich uwadze. Stalin znalazł się na wysokości zadania. Zaproponował kolejno siedzącym dalej, by składali propozycje kompromisowe. Miałem nadzieję, że Stalin zmieni temat, zanim przyjdzie kolej na mnie. Lecz nie. Wreszcie podniosłem się zwolna, głęboko wdychając powietrze i rzekłem:

— Gdy nasze armie przebiją się z zachodu a Wasze ze wschodu, czy zagadnienie nie rozwiąże się samo przez się? Żołnierz rosyjski, amerykański i brytyjski załatwią spór o te 50.000 przestępców, mianowicie w boju, jak poza tym i sprawę innych setek tysięcy hitlerowców.

Chciałem już usiąść. Stalin promieniał z zadowolenia. Obszedł stół i wziął mnie za ramiona. To była, jego zdaniem, doskonała odpowiedź. Moje zdrowie! Ująłem kieliszek (zwyczajem rosyjskim — ten czyje zdrowie się pije, pije również — notuje jako curiosum Elliot Roosevelt), gdy nagle ujrzałem rękę wygrażającą przed moim nosem.

— Czy ma Pan w tym interes aby psuć stosunki między aliantami? Wie Pan, co Pan mówi? Jak śmie Pan mówić coś podobnego?

Był to Churchill i był rzeczywiście wściekły. Nie żartował. Było mi dość niezręcznie. Siadłem i odtąd zachowywałem się z rezerwą. Na szczęście obiad się niedługo skończył. Udałem się do apartamentu ojca, by się usprawiedliwić z powodu zakłócenia przyjaźni alianckiej.

— Nie rób sobie z tej racji wyrzutów. Co powiedziałeś — było w zupełnym porządku. To było doskonałe. Winston „wypadł z ramek". A Wuj Joe, jak go urządził! Nic sobie z tego nie rób.

Tyle Elliot Roosevelt. Jedno z pism szwajcarskich, większą widać dla Churchilla niż Elliota Roosevelta owiane sympatią, kwestionuje obiektywizm autora. Trudno z oddalenia sądzić o tym z całą ścisłością. Charakterystyczne jest, że na ogół prasa amerykańska nie wysuwa przeciw synowi zmarłego prezydenta tych zastrzeżeń.

W częściach dotyczących rozmów autora ze zmarłym prezydentem trudno o świadectwo prawdy po śmierci Franklina D Roosevelta. Gdy chodzi jednak o przebieg zdarzeń w obecności większej ilości świadków, zbyt ryzykowna byłaby nieprawda. Harriman Kerr, Eden żyją przecież i mogliby ją sprostować. Nie robią tego — jak również i Churchill, co zdaje się potwierdzać prawdziwość relacji Elliota Roosevelta. Qui tacet consentive videtur — mówi przysłowie.

Ankad.

---

*) W ten sposób w prywatnej rozmowie z synem nazywał prezydent Roosevelt generalissimusa Stalina.

**) P. M. — Prime Minister, czyli Winston Churchill.

NOWE PRZYGODY GULIWERA

Ilustracje autora

Było to w Durazzo. Pełen dumy i żądzy przygód wkraczałem na pokład swej barki „Klotylda".

Dowiedziawszy się z gazet o nieurodzaju ryżu w Indiach, postanowiłem pośpieszyć głodującym Hindusom z pomocą, a przy tym coś zarobić. Zapchałem więc „Klotyldę" ryżem po same burty, zaprowiantowałem beczką słodkiej wody, kilkoma flaszkami rumu, wędzonym boczkiem, i [illegible]awszy [illegible] wobec braku syreny, dałem hasło do odjazdu. Załoga „Klotyldy", składająca się ze starego Greka Dopulosa, podniosła z trudem kotwicę, a wiatr pomyślny, uderzywszy w zwietrzały żagiel, pchnął barkę na szerokie wody.

Byliśmy już na pełnym morzu, gdy z ust Dopulosa, spoczywającego w cieniu żagla, wyrwał się okrzyk: „Rekin"! Zagrała we mnie drzemiąca od dawna żyłka łowiecka, więc zbiegłem co tchu do kajuty po harpun, zakupiony okazyjnie w Durazzo. Rekin podpływał coraz bliżej i podsunął się wreszcie na odległość dogodną dla rzutu harpunem; rzuciłem więc pocisk, który, trafiwszy w rekina, ściągnął odrazu całą linę z rolki, przytwierdzonej do bugu statku. Po chwili wyciągnęła się lina jak struna i statek pomknął ze zdwojoną szybkością.



Dałem hasło do odjazdu.

Kanał Suezki przepłynęliśmy bez przeszkód i dopiero na Morzu Czerwonym zaczęły się nasze kłopoty. Nie znałem złośliwych właściwości ryżu, i to właśnie spowodowało katastrofę. Pobieżnie tylko smarowana „Klotylda" nasiąknęła prędko wilgocią, a ryż, którym była napełniona po brzegi, począł pęcznieć pod wpływem niemiłosiernie prażącego słońca. „Klotylda" puchła w oczach i bezradnie widzieliśmy, jak pod naszymi stopami zaczyna się pokład wyginać w kabłąg, a na bokach statku ukazują się szczeliny, przez które począł się sypać parujący ryż, pożerany skwapliwie przez mewy i gęsto uwijające się rekiny.

Z kolei i one poczuły fatalne skutki złowrogiego ładunku. Żarłoczne mewy, wzdęte jak baloniki, opadały na pokład lub wpadały do morza, gdzie były natychmiast pożerane przez stada rekinów. Po pewnym czasie i żarłacze podlegały tym samym skutkom.

Pomimo naszego tragicznego położenia pokładaliśmy się ze śmiechu, widząc jak straszliwe potwory zaokrąglały się coraz bardziej i bardziej. Jak okiem sięgnąć przewalały się po morzu ich białe brzuchy, toteż gdy w pewnej chwili rozleciała się moja „Klotylda" z wielkim hukiem, mogliśmy, nie napastowani przez wzdęte ludojady, dopłynąć do bezludnej wyspy.

Wobec szybko w tych stronach zapadających nocy nie byliśmy w stanie rozpatrzeć się w terenie. Położyliśmy się więc, znużeni śmiertelnie, gdzie popadło, i zasnęliśmy niebawem, oczekując spokojnie dalszych przygód. Jakoż nie dały długo na siebie czekać.

Na horyzoncie ukazała się sylwetka dużego statku żaglowego z łopocącą na maszcie czarną banderą, ozdobioną trupią głową. Nie miałem wątpliwości, że to był statek korsarski. Widocznie dojrzeli mnie, bo wzięli kurs wprost na mnie i wyciągnęli mnie na pokład. Wśród urągań, jakich nie znają najstarsi ludzie, obrali mnie z wszystkiego i przywiązali do masztu. Zamknąłem oczy, przygotowany na śmierć. Szatański śmiech, który się rozległ po pewnej chwili ciszy, zmusił mnie do otwarcia oczu.

Korsarze, zataczając się ze śmiechu i fikając kozły w powietrzu, otaczali mnie z rykiem wesołości i zachowywali się jak wariaci. Paru zaczęło mi na gwałt rozwiązywać pęta, a herszt sądząc z jego ubioru, podawał mi dużą szklankę wina. Sprawa wyjaśniła się wkrótce. Dostałem się na okręt jakiejś trupy filmowej, która skorzystała z mej sytuacji i sfilmowała mnie jako ofiarę okrutnych rozbójników morskich.

Wypłacili mi za strach niezłą sumkę w dolarach, a kiedy uparłem się przy dalszym poszukiwaniu przygód, wyekwipowali podzwrotnikowo, zaopatrzyli we wszystko niezbędne w tych stronach i wysadzili na najbliższej wybranej przeze mnie wyspie.

Wyspa okazała się uroczą. Rosły na niej wysokie palmy daktylowe, drzewa chlebowe, palmy kokosowe, figowce i wiele innych drzew i krzewów. Mogłem tu bez troski siedzieć czas dłuższy, nawet po wyczerpaniu się zabranych z okrętu zapasów żywności. Skleciłem sobie więc przed wieczorem jaki taki szałasik, pokryłem liśćmi palmowymi, a zjadłszy pół jaja strusiego na twardo i parę bananów — położyłem się spać. Twardy mój sen przerwał o brzasku szmer podejrzany.

Spojrzałem i zdębiałem. Przede mną stał olbrzymi goryl i wymachiwał jednym z moich Coltów, zdjętym z tyki, podpierającej dach szałasu. Zgrzytał przy tym kłami i walił się lewą łapą w piersi aż trzęsła się chata.

Starałem się ułagodzić go pieszczotliwymi słowy, piosenkami i cmokaniem, lecz daremnie. Widocznie wszystkie moje dźwięki rozdrażniły go jeszcze bardziej, bo ruchy łapy, trzymającej rewolwer, stawały się coraz gwałtowniejsze.

— „A nuż naciśnie niebacznie cyngiel"— pomyślałem, widząc, że najprawidłowiej celuje we mnie. Mój mózg, pracujący sprawnie, nasunął mi myśl szczęśliwą. Przy prawym moim boku tkwił w pochwie bliźniaczy Colt. Powolnymi ruchami wyciągnąłem go i począłem manipulować nim przed ślepiami potwora. Zainteresował się tymi ruchami ogromnie, bo uspokoił się, przestał zgrzytać zębami i walić się w piersi, a zaczął naśladować wszystkie moje ruchy. Gdy wycelowałem w pułap chaty robił to samo, wymierzyłem w ziemię — on również. Zaryzykowałem ruch w kierunku mej piersi. Natychmiast przyłożył sobie broń do swej olbrzymiej klatki piersiowej. Z kolei przyłożyłem sobie Colta do ucha, pokazując jak się naciska cyngiel. Mogłem to robić bezkarnie, mając broń zabezpieczoną.

To, na co liczyłem, stało się prawie momentalnie, wystrzał ogłuszył zwierza i przeszył mu ucho. Z rykiem nie do opisania zerwał się goryl z miejsca i zataczając się jak pijany zniknął w pobliskich krzakach. Nie zrobił sobie widocznie wielkiej krzywdy, ale przeżył tyle strachu, że nie pokazał mi się na oczy w ciągu całego mego pobytu na tej rajskiej wyspie. Cieszyłem się, że nie popełnił samobójstwa, bo nie darowałbym sobie tego nigdy i miałbym na sumieniu życie prawie że ludzkie.

Po sutym obiedzie, składającym się z ostryg i owoców, zakrapianym mlekiem kokosowym, upiekłem sobie parę bułek z drzewa chlebowego i wyruszyłem na zwiedzanie wyspy. Okazała się większa, niż przypuszczałem. Prawie nieprzebyta dżungla zasłaniała mi widnokrąg. Z niemałym trudem przedzierałem się przez czas dłuższy przez plątaninę lian, różnych gatunków roślin kolczastych, urozmaicona cudnymi orchideami, aż wydostałem się wreszcie na polanę leśną, zasianą jakimiś kopczykami. Ku memu przerażeniu kopczyki te okazały się lepiankami, zamieszkałymi przez lud pigmejów. Słyszałem dużo o tych małych ludzikach. Mówiono, że są bardzo okrutni, a nawet że jedzą ludzi. Chciałem się cofnąć w gąszcza, lecz było za późno. Niezliczone chmary czarnych karłów opadły mnie ze wszystkich stron. Powłaziło mi to mrowie na plecy, ramiona a nawet na głowę. Zanim się spostrzegłem, opętali mnie cienkimi, lecz mocnymi sznurkami, jak pajęczyna muchę. Do bezwładnie leżącego w trawie podszedł cudacznie ubrany człowieczek, wskoczył mi na brzuch i począł piskliwym głosem coś wykrzykiwać i wymachiwać przy tym rękoma, uzbrojonymi w maczugi, nabijane ostrymi kamykami. Sądziłem, że chce mnie nimi zatłuc, nie uczynił jednak tego, tylko



Korsarze otoczyli mnie z rykiem wesołości.

nakrzyczawszy się dowoli, gwizdnął przeraźliwie przez spiczaste zęby. Na to hasło rój karzełków jął ciągnąć mnie w kierunku kopczyków. Przed okazalszym z nich zatrzymali się za powtórnym gwizdnięciem. W otoczeniu licznej świty wyszedł ze swego pałacu siwobrody karzeł z ogromnym brzuchem, stanął przede mną, a wskazując palcem na swój żołądek, dał mi mlaskaniem do zrozumienia, że zostanę zjedzony. Mrowie przeszło mi po skórze, bo wyobraziłem sobie natychmiast, że taka śmierć nie może należeć do gatunku przyjemnych.

Po pewnych ceregielach znalazłem się w garnku z wodą po brodę.

Ktokolwiek z was znajdował się choć przez chwilę w garnku z przeznaczeniem rozgotowania się na bulion, ten pojmie mój stan duszy. Najpaskudniejsze było to, że miałem się gotować żywcem. W ponurym nastroju siedziałem w garnku, obsypany bobkowymi liśćmi i patrzeć musiałem bezsilny, jak przyprawiano mnie pietruszką, marchewką i selerami. Przez długi czas nie mogłem nic wymyślić, gdy jednak poczułem różnicę temperatury pod siedzeniem, pomyślałem o Coltach. Plan powstał w jednej chwili.

Zdołałem wyciągnąć broń z futerału i wypalić w garnek sześć razy. Rozleciał się w kawałki, a woda zalała ognisko. Pod wpływem upadku z garnka pękły na mnie więzy, tak, że mogłem stanąć na równych nogach i swobodnie poruszać rękoma. Gęsta para, dym i ciemność nie pozwalały mi na razie dostrzec wrażenia, jakie spowodowała katastrofa z garnkiem, zastanawiała mnie jednak cisza, jaka za-

Stał olbrzymi goryl i wymachiwał jednym z moich Coltów.



Niezliczone chmary czarnych karłów opadły mnie ze wszystkich stron.



panowała wśród gwarnego przed chwilą środowiska karłów. Obawiałem się zasadzki, postanowiłem więc poczekać do świtu i rano rozprawić się z łotrami.

Czekałem jednak daremnie, bo nie pokazali się ani rano, ani w południe, a gdy przy zachowaniu wszelkich ostrożności zajrzałem do wioski, okazała się wyludniona zupełnie. Zaopatrzyłem się w spiżarni królewskiej w spory zapas jaj i owoców i ruszyłem w dalszą drogę.

Niemałą plagą wyspy były małpy z gatunku pawianów, niszczące od czasu do czasu wszystko, co im pod rękę wpadło. Długo przemyśliwałem nad sposobem unieszkodliwienia psotników, wreszcie znalazłem. Udało mi się przy pomocy karzełków, z którymi już się pogodziłem, zła-



Znalazłem się w garnku z wodą po brodę.

pać w sidła herszta jednej z najgorszych małpich band. Po gruntownym ostrzyżeniu i ogoleniu łotra, pomalowaliśmy go w zielone i czerwone kratki i puściliśmy do lasu, nie czyniąc mu poza tym żadnej krzywdy. Byłem przekonany, że małpi naczelnik w ten sposób oszpecony straci szacunek w swej gromadzie, a równocześnie odstraszy małpy od niszczenia naszych osiedli.

Nazajutrz po awanturze z pawianem zostałem zbudzony odgłosami bębnów grzmiących na trwogę. Złapałem jakiegoś krokodyla, wziąłem go na smycz i pośpieszyłem na miejsce, skąd dochodziły odgłosy wielkiego zamieszania.



Niemałą plagą wyspy były pawiany.

Oczom moim przedstawił się niezapomniany widok.

Na czele ze starym małpiszonem w kratki wysuwał się z gęstwiny leśnej tłum niezliczony małp, wrzeszczących wniebogłosy i wymachujących długimi łapami.

Małpy zatrzymały się jakby na komendę przed nami, nie okazując wrogich objawów. Po pewnej chwili wyłoniły z siebie coś w rodzaju deputacji, która błagalnymi minami i gestami wskazywała na pomalowanego wodza, jakby prosząc o coś. Zrozumiałem, o co im chodziło, mianowicie, aby je tak samo pomalować, jak ich króla. Kolorowe kraty zrobiły na nich niesłychane wrażenie. Wymalowaliśmy więc je w paski, kratki, kropki, a małpie damy w kwiatki. Po skończonej operacji objawom małpiej uciechy nie było końca.

Dalszą moją troską było zabezpieczenie kraju przed mieszkańcami wysp sąsiednich. Po dokładnym zwiedzeniu wyspy okazało się, że na przeciwnym jej krańcu znajdują się duże stada strusi i spora ilość żyraf. Oba te rodzaje zwierząt nadawały się do tresury, postanowiłem więc użyć ich do obrony kraju. Dały się łatwo użyć jako wierzchowce.

Piękny to był widok, gdy z jednej strony pędziła linia pięknych ptaków, a z drugiej żyraf i oba fronty zatrzymywały się na moją komendę jak wryte.

Po jakimś czasie mogłem pełen dumy spoglądać na swoją armię i byłem spokojny o losy kraju.

Z beztroski wytrącił mnie pewnego dnia meldunek straży, przesłany w torbie oswojonego kangura, donoszący o lądowaniu jakichś uzbrojonych ludzi. Przez bębny kazałem zwołać starszyznę wszystkich osiedli i stanąć żołnierzom pod bronią. Osiodławszy żyrafę popędziłem na zwiady. Z wysokiego drzewa objąłem wzrokiem wyspę i zaniepokoiłem się nie na żarty.

Niedalekie wybrzeże roiło się od dzikich, zbrojnych na szczęście tylko w dzidy i miecze. Nie mogłem dopuścić do posuwania się napastników w głąb wyspy, toteż zlazłem czym prędzej z drzewa, pogalopowałem do stolicy i wydałem wojskom rozkaz wymarszu. Nakazałem posuwać się jak najciszej, aby zaskoczyć wroga. Małpom, aby nie hałasowały, kazałem nałożyć gumowe maski, a gdy ujrzeliśmy wroga, rzuciłem do ataku swych ułanów na strusiach i żyrafach. Zwycięstwo było natychmiastowe.

Aby je uczcić, postanowiliśmy urządzić wspaniałą ucztę z tańcami. Popiliśmy się wszyscy, a ja — straciwszy przytomność — znalazłem się w nieznanej okolicy i obawiałem się, że nie trafię do domu przed zapadnięciem nocy.

Kierując się według zachodzącego słońca, przedzierałem się czas jakiś przez dżunglę, by stanąć nagle przed nieprzebytą przeszkodą w postaci szerokiego kanału. O przebyciu go wpław nie mogło być mowy, gdyż w ciemnej jego toni czyhało na mnie tysiące niebezpieczeństw.

Na piaszczystym brzegu kanału grzało się w ostatnich promieniach słońca mnóstwo olbrzymich żółwi, a tuż przy wodzie spał wygodnie rozpłaszczony wielki, może ośmiometrowy krokodyl. Bez długiego namysłu przewróciłem kilkanaście żółwi na grzbiety, powiązałem w rząd mocnymi linami za łby i ogony i ostrożnie podszedłem do krokodyla. Spał jak zabity i ani się poruszył, gdy splątałem ogon jego z żółwiami. Spełniwszy niebezpieczne zadanie, uciąłem sporą gałąź i palnąłem go nią w łeb. Sapnął głośno i zsunął się przerażony do wody, pociągając za sobą szereg wymachujących nogami żółwi.

Lądując na przeciwległym brzegu, stworzył mi potwór z żółwi wygodny most pontonowy, po którym, skacząc, przebyłem kanał bez trudu. Uszedłem już kawał drogi, a jeszcze dochodziły mnie od kanału odgłosy szamotań między krokodylem a żółwiami. Długo kołowałem w kniei i dopiero nad ranem dotarłem do zaniepokojonych o mój los pigmejów.

W tym dniu zaszedł wypadek, który zadecydował o moim pobycie na wyspie. O koralową rafę tuż przy brzegu rozbił się francuski statek naładowany czekoladą, likierami i gramofonami. Na moje i pigmejów nieszczęście, dałem im do spróbowania czekolady, likierów i nauczyłem obchodzić się z gramofonami.

Jak dzieci, nie dali się już powstrzymać od nadużywania przysmaków, a zwłaszcza likierów. Pijani jak bele nakręcali od rana do wieczora gramofony i zatruwali mi życie okropnymi echami kultury białych ludzi. Daremnie przedstawiałem im zgubne skutki, które pociągnie za sobą ich rozwydrzenie, nie pomagały też prośby ani surowe kary.

Pewnego dnia spoili mego biednego krokodyla likierem. Nieszczęsny staruszek



Wziąłem krokodyla na smycz.

wpadł w szał pijacki, wyrżnął łbem o baobab i skończył życie. To samo stało się z pożytecznym wężem boa. Jak szalony miotał się długo w konwulsjach wymiotów, aż wywrócił się jak rękawiczka i nie potrafił już z powrotem wejść w siebie.

Najgorsza bieda była z małpami, które dotąd wiodły żywot przykładny. Dorwały się one także do zakazanych owoców. Zasmakowały bardziej od karłów w czekoladzie i likierach, nauczyły się nakręcać gramofony i nuże używać, ile starczyło dni i nocy. Wyspa jak długa i szeroka rozbrzmiewała wrzaskiem pijanych pawianów i skrzekiem nieustannie nakręcanych aparatów.

Straciłem zupełnie posłuch u małp i doszło do tego, że niebezpieczeństwem było dla mnie zapuszczanie się w głąb spokojnej dotąd wyspy. Stopniowo traciłem też posłuch u pigmejów, zwłaszcza, że niecny czarodziej Bimbula, wyzyskując śmierć krokodyla i brak naboi do mych rewolwerów, jął podburzać przeciwko mnie króla i naród.

Nie pozostało mi więc nic innego, jak tylko wyspę porzucić.

W wielkiej tajemnicy, z pomocą paru wiernych mi jeszcze pigmejów i kilku rozsądniejszych małp, zmajstrowałem niezły stateczek w formie dużego cygara, z klapą, jak u łodzi podwodnej.

Kończyłem ostatnie przygotowania do drogi, kiedy przez lunetę, znalezioną na rozbitym statku, dostrzegłem wielkie chmary dzikich, lądujących po prawej stronie wyspy.

Pobiegłem do króla, aby go ostrzec przed niebezpieczeństwem. Pijaniusieńki wraz z całym swym otoczeniem wyśmiał mnie i groził nawet użyciem broni.

Z bólem serca ogarnąłem wzrokiem czarowną wyspę po raz ostatni, wskoczyłem do łodzi, odbiłem od brzegu i rozpiąłem żagiel. Prąd pochwycił łódź, zakręcił nią parę razy i porwał na sine bezkresy.

Przeszło dwa tygodnie błądziłem po morzu. Statek mój miotany wściekłymi burzami, smagany deszczem i unoszony jak patyk przez olbrzymie bałwany wytrzymał wszystko.



Kończyłem ostatnie przygotowania...

Zauważywszy po dwóch tygodniach brzegi Danii, poczułem się już jak w domu, zamknąłem więc klapę i zasnąłem spokonie.

Po jakimś czasie zbudził mnie wstrząs, spowodowany zetknięciem się z lądem. Otworzyłem klapę i wyjrzałem zaciekawiony.

I cóż ujrzałem?

Hel, nasz drogi Hel, pachnący przede mną świeżą zielenią.

Kazimierz Grus.

NIEDOMOGI SPÓŁDZIELCZOŚCI

Utarło się mniemanie, że, jeśli spółdzielnia... to musi wszystko być najdoskonalsze, zapasów w bród. Tak jakby spółdzielnia była mitycznym, oderwanym od spraw ziemskich, od istniejących warunków, królestwem wszelkiej obfitości, nie podlegała prawom ekonomii.

Słyszy się, jakże często, zarzuty:

— Należę do spółdzielni, a za cały rok otrzymałem zaledwie... — następuje wyliczenie artykułów, otrzymanych z tytułu członkostwa.

Istotnie, skromnie przedstawia się ich liczba, dobór i wartość. Czy atoli nikt z krytyków nie zastanowił się, nie zestawił wartości swoich udziałów w odniesieniu do siły kupna, wartości rzeczywistej, sumy złotych 50, stanowiących udział członkowski, obecnie a przed wojną? Czy obarczając spółdzielnię zarzutem złej gospodarki nie postawiono sobie pytania: czym gospodarować? Jakimi środkami finansowymi, i z jakich źródeł czerpanymi, operuje spółdzielnia? Bo fundusze: udziałowy i społeczny wynoszą znikomy ułamek zasobów finansowych spółdzielni.

Zapoznajmy się ze stanem zasobów „Powszechnej Spółdzielni Spożywców", tej bodaj najpotężniejszej w Polsce placówki spółdzielczości. Jej fundusz udziałowy (licząc 50 zł udział), nie przekracza trzech milionów, fundusz społeczny — jedenaście milionów, zaś obroty za miesiąc listopad dosięgają sumy pół miliarda złotych.

Czym więc operują władze spółdzielni?

Oczywiście kredytem. I to pięta Achillesa, to brak i słaba strona. Dlatego, aby uzdrowić stosunki i oprzeć spółdzielczość na mocnych, własnych fundamentach, zgodnych z zasadą spółdzielczości, należałoby pomyśleć o podniesieniu udziału do rzeczywistych, podyktowanych prawami logiki i ekonomii, wartości; dostosowanie ich wysokości do warunków gospodarczych.

Drugim ważnym zagadnieniem jest pogłębienie wiedzy spółdzielczej wśród aparatu administracyjnego oraz, co jeszcze ważniejsze, wychowywanie członków, rozszerzanie ich zainteresowań sprawami spółdzielni. Aby te zainteresowania nie obracały się wyłącznie w sferze przydziałów, lecz przybierały charakter zainteresowań ideowo - społecznych. Kartkowi członkowie, ci, którym obce są założenia spółdzielczości, aczkolwiek liczni nawet, stanowią surowy materiał, z którego czas, wychowanie, odpowiednia lektura i współpraca może uczynić czynnych członków.

Z życzliwością i uznaniem trzeba podkreślić zabiegi, powołanych do tego organów P. S. S. Dotychczas wiemy o zorganizowaniu przez Wydział Społeczno-Wychowawczy kursów spółdzielczych, kształcących już 250 pracowników. W perspektywie najbliższej przyszłości zamierzone jest położenie nacisku na wydawnictwa z dziedziny historii spółdzielczości.

Wacław Karczewski.

ELLIOT ROOSEVELT W WARSZAWIE



Rząd Polski gościł płk. Elliota Roosevelta, syna Wielkiego Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Płk. Roosevelt w drodze powrotnej z Moskwy, zatrzymał się wraz z małżonką, popularną artystką filmową — w Warszawie. W czasie swego krótkiego pobytu, goście mieszkali w lewym skrzydle pałacu wilanowskiego.

Na zdjęciu: płk. Elliot Roosevelt wraz z małżonką na lotnisku w Warszawie.

(fot. Film Polski)

NOWY PREMIER FRANCJI

Po długich pertraktacjach międzypartyjnych premierem Francji został Leon Blum. socjalista, który utworzył rząd złożony z samych socjalistów. Rząd ten sprawować będzie władzę do chwili wyboru prezydenta Francji, który ma nastąpić w styczniu 1947 r. Na zdjęciu: premier Leon Blum (na lewo) w towarzystwie swego towarzysza partyjnego Tolleta.

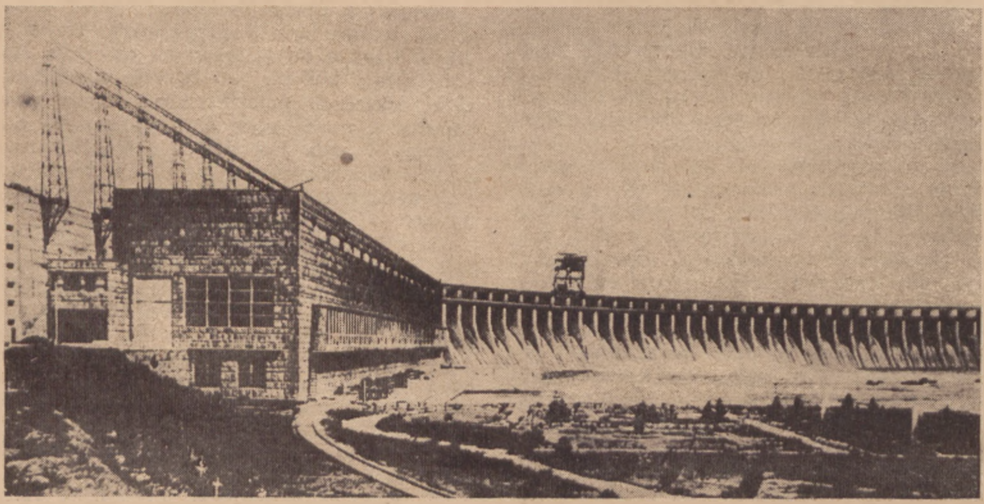


GRÓB EWY



W odległości 97 kilometrów od Mekki na cmentarzu Dżeddah wznosi się grobowiec, któremu podanie od wieków nadało nazwę grobu Ewy, matki rodu ludzkiego. Muzułmanie często odwiedzają to mauzoleum, murowane z kamienia, 63 metry długości, składające się z dwóch kapliczek, — jednej u wejścia i drugiej w pośrodku tej budowy, przywalonej olbrzymim odłamem skały. Sam grób wykuty w kamieniu jest pusty; legenda wskazuje go, jako miejsce spoczynku kobiety, która była towarzyszką życia pierwszego człowieka na ziemi po wygnaniu z raju.

ODBUDOWA DNIEPROSTROJU



Zgodnie z planem gospodarczym Związku Radzieckiego ukończono przed wyznaczonym terminem—odbudowę dnieprowskiej stacji elektryczno-hydrotechnicznej oraz tamy na Dnieprze w Zaporożu.

(S. A. P.).

Od i do Redakcji

P. Mikołaj Borkowski w Poznaniu. W nr 22 „Tygodnia" podaliśmy tabelę ilustrującą płace i ceny chleba w szeregu państw, przeliczając to na ilość bochenków chleba. Z tego może pan wyciągnąć wniosek, czy uposażenia u nas są wyższe, czy niższe w porównaniu z zagranicą.

P. Mgr. Zbigniew Knaflewski w Warszawie. Nadesłane uwagi wykorzystamy w formie listu do redakcji, lecz musimy skrócić, bo zajęłoby nam to więcej niż pół strony, na co nie możemy sobie pozwolić z powodu braku miejsca. Numery „Tygodnia" będziemy przesyłali.

P. Gabriela Wereszko w Starogrodzie. Z propozycji nie skorzystamy, mamy już dostateczną ilość materiału.

P. Józefa Bednarzewska w Sopocie. List Pani przekazaliśmy p. kpt. Ognistemu, celem nawiązania bezpośredniego kontaktu.

P. Waleria Kozłowska w Katowicach i P. Leon Borkowski w Lublinie. Rozstrzygnięcie konkursu fotograficznego podamy w numerze poświątecznym, który ukaże się 5 stycznia 1947 r.

P. Józef Sosnowski w Gdańsku i P. Jan Górski we Wrocławiu. Bardzo chętnie wykorzystamy dobre zdjęcia i ciekawe reportaże.

Od administracji:

Prosimy o odnowienie prenumeraty na m-c styczeń

(30)

WIADOMOŚCI SPORTOWE

BOKSERZY ŁÓDZKIEGO ZRYWU odnieśli wspaniały sukces propagandowy na Węgrzech. Na cztery rozegrane mecze towarzyskie dwa zakończyły się wynikami remisowymi, a dwa zostały wygrane przez zawodników polskich. Pięściarze nasi walcząc w Budapeszcie i w miejscowościach fabrycznych zdobyli szeroki rozgłos, czego są najlepszym dowodem odgłosy prasy węgierskiej. Niemal wszystkie gazety węgierskie rozpisywały się szeroko na temat sportu bokserskiego wspominając dawne dzieje jego świetności. Najbardziej podobał się z zawodników polskich Woźniakiewicz, który potrafił odnieść trzy zwycięstwa, a czwarty pojedynek zakończył wynikiem remisowym. Bardzo dobrze wypadł również Taborek. Znalazł się on w rewelacyjnej formie. Na słowa uznania zasłużył również reprezentant Polski Czarnecki, który nie przegrał ani jednego spotkania. Nie powiodło się w pierwszym meczu Trzęsowskiemu, który został poważnie kontuzjowany. Ten młody zawodnik dwa dalsze spotkania wygrał, a jedno zremisował. Nieźle wypadł również Kamiński, który trzy walki zremisował a jedną wygrał.

SEZON HOKEJA NA LODZIE rozpoczął się. Pierwszy mecz odbył się w Łodzi między dwiema drużynami ŁKS. Mecz ten cieszył się wielkim powodzeniem ze strony publiczności. Mimo mrozu na trybunach zebrało się około 1500 widzów. Na tafli lodowej widzieliśmy między innymi takich zawodników jak Króla, Czyżewskiego, Kelma, Meternicha, Głowackiego, Sokołowskiego, Meyera. Hokeiści ŁKS — 21 i 22 bm grać mają w Poznaniu, a w czasie świąt Bożego Narodzenia gościć u siebie będą hokeistów Pomorzanina z Torunia.

PIERWSZY PO WOJNIE MIĘDZYPAŃSTWOWY MECZ BOKSERSKI Z WŁOCHAMI ma się odbyć w 1947 r. Spotkanie Polska—Włochy odbędzie się w jednym z większych miast włoskich.

WIELKI KONKURS SKOKÓW NA KROKWI odbędzie się w okresie świątecznym w Zakopanem. Ponadto odbędą się pierwsze imprezy narciarskie w biegach zjazdowych i slalomie. Natomiast bieg sztafetowy 4 × 10 km o mistrzostwo Polski odbędą się 31 grudnia.

NA WALNYM NADZWYCZAJNYM ZEBRANIU POLSKIEGO ZWIĄZKU PIŁKI NOŻNEJ postanowiono reaktywować Ligę piłkarską w Polsce z tym zastrzeżeniem, że nie określono jeszcze jak ma ostatecznie nazywać się ta extra klasa piłkarstwa polskiego, wiadomo tylko, że składać się ona będzie z 10 klubów. Do eliminacyjnych rozgrywek, które rozpoczną się w marcu 1947 roku dopuszczeni zostaną mistrzowie 20 istniejących okręgów piłkarskich plus po dwie drużyny z Krakowa i Śląska, a dodatkowo po jednej z Łodzi, Warszawy i Poznania. Ogółem więc do boju stanie 27 drużyn walczących w trzech grupach. Drużyny z tego samego okręgu będą rozstawione. Z każdej grupy wejdzie po trzy drużyny z tym, że dziesiątą drużynę ligową stanowić będzie mistrz „A" klasy polskiej.

WIELKI MIĘDZYKLUBOWY TURNIEJ GIER SPORTOWYCH zorganizowany został w Łodzi z udziałem dwóch drużyn z Krakowa Olszy i Oracovii oraz reprezentacyjnego zespołu Zw. Harcerstwa Polskiego.

Uzyskano następujące wyniki w piłce koszykowej: TUR Łódź—Cracovia 29:21 (13:13), TUR Łódź—HKS 74:17 (24:111) i Cracowia—ŁKS 33:13 (18:2).

W piłce siatkowej Olsza Kraków pokonała TUR Łódź 2:1; Olsza—ŁKS 2:1; HKS—TUR 2:1, ZHP—TUR 2:0.

J. N.

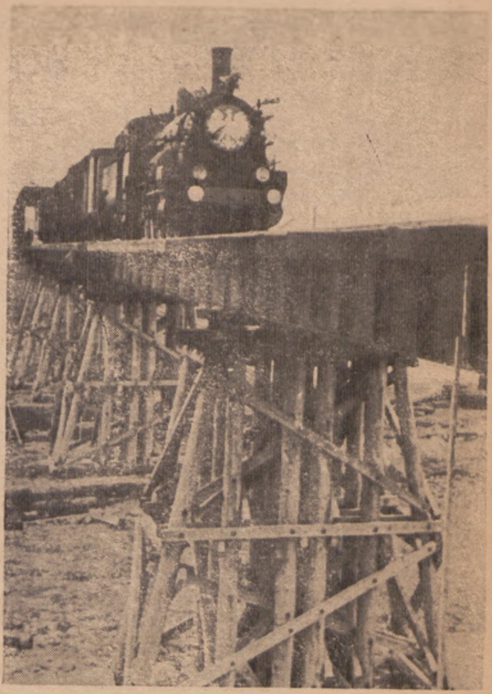
ODBUDOWA KRAJU



Również ukończone zostały prace nad odbudową tunelu kolejowego pod Miechowem na linii Warszawa—Kraków.
(fot. Film Polski)

Zniszczony przez Niemców wiadukt żoliborski w Warszawie został już odbudowany i oddany do użytku. W ten sposób Żoliborz a z nim Bielany i Marymont zyskały dogodne połączenie z centrum miasta. Na otwarciu wiaduktu przemawiał gen. Zawadzki, b. tramwajarz warszawski.
(fot. Film Polski)





Na Wiśle pod Krakowem otwarto most szerokotorowej obwodowej linii kolejowej, co przyczyni się do usprawnienia komunikacji na tym terenie.
(fot. Film Polski)

UNIFIKACJA PRAWA W POLSCE



W Prezydium Rady Ministrów odbyła się akademia, zorganizowana z okazji zakończenia prac nad unifikacją prawa. Fakt ten ma doniosłe znaczenie dla naszego ustawodawstwa. W pierwszym rzędzie siedzą: wiceprezydent KRN prof. Grabski, prezydent Bierut i premier Osóbka-Morawski.
(fot. Film Polski)

JEJ KRÓL. MOŚĆ „MODA"



Irena Malkiewicz prezentuje wytworną toaletę balową.
(fot. J. Płażewski)

Rewia mody w Łodzi.

„My rządzimy światem, a nami kobiety. Jest jednak rzecz, rządząca kobietami. To — moda". Pod takim hasłem Związek Zawodowy Literatów urządził w Łodzi pierwszą powojenną rewię mód. W epoce, w której kultura i sztuka mają swe własne ministerstwo, nawet najbardziej nieustępliwy mąż pogodzić musi się z faktem ,że estetyka życia codziennego wymaga ofiar. Toteż sztuka stosowana, wcielona w pomysłowe kreacje piękniejszej połowy ludzkości w przeróżne suknie, kostiumy, futerka, płaszczyki, żakiety, komplety, szlafroki, dezabile, szatki i szmatki — budzi zainteresowanie napewno nie mniejsze, niż dawniej. Spora sala łódzkiego Klubu Pickwicka nie była w stanie pomieścić wszystkich ciekawych. W czasie demonstrowania modeli nienaturalnie rozszerzone źrenice przedstawicielek płci pięknej świadczyły wymownie o stopniu poruszenia. Gdzie niegdzie skrupulatny obserwator ułowiłby w spojrzeniu sporą dozę łapczywej pożądliwości. Trzeba przyznać, że firmy łódzkie pokazały dużo ładnych rzeczy. Wśród sukni przeważały tanie toalety użytkowe, codzienne, przy czym kilka modeli wykonano z materiałów przydziałowych. Nie można powiedzieć tego o futrach, na widok których panowie bledli z przerażenia. Bynajmniej nie zdetonowane tym panie pilnie zapisywały adresy wystawiających firm. Współczując osobom, które nie mogły widzieć rewii, zamieszczamy obok fotografie kilku z najefektowniejszych kreacji pokazu.

jpł.

Skromna sukienka sportowa i elegancki szlafrok.
(fot. J. Płażewski)



DOROBEK „CZYTELNIKA"



W Warszawie odbył się I Zjazd Delegatów Kół „Czytelnika" z całej Polski dla podsumowania dwuletniego dorobku „Czytelnika". Na zdjęciu: prezes mjr. Borejsza, dyr. Pokrzywa i prof. Tazbir.
(fot. Film Polski)

LEGENDA I KRZYŻACTWO

(Z NOTATEK POŚMIERTNYCH)

Rzecz dziwna, że krzyżactwo rozwijało się właśnie wtedy, gdy na południu Europy, w cichej Umbrii żył i nauczał święty Franciszek w otoczeniu braciszków swoich: ludzi i zwierząt. Nie nosił krzyża na piersi, daleki był od myśli noszenia miecza krzyżackiego. Był cichy, pełen dobroci i miłości do wszystkiego, co żyło, kochało, cierpiało. Wygłaszał kazania do ptaszków, do rybek, do kwiatów. Nie przychodziło mu łatwo realizować swoją legendę o całkowitym oddaniu się Chrystusowi, jak on to rozumiał. Gdy ojciec jego, stateczny mieszczanin i zamożny kupiec, wygnał go z domu jako szkodliwego szaleńca, znalazł sobie Franciszek dziada proszalnego i zawarł z nim układ, że ilekroć będzie czuł potrzebę usłyszenia dobrego słowa, podejdzie do owego dziada i powie: „Pobłogosław mnie, ojcze". Cicha słoneczna Umbria, lilie polne, wzgórza i doliny, wiew legendy franciszkańskiej... Działo się to wtedy, gdy rycerze niemieccy oszukiwali Konrada Mazowieckiego i usadawiali się w jego posiadłościach, aby niszczyć jego dziedzictwo i naród. Wycieczka w legendę. Patrzymy na twardych ludzi z krzyżem na piersi i z morderczym narzędziem u boku. Posłuszeństwo bezwzględne, kastracja umysłu, wyrzeczenie się własnych myśli i własnych marzeń. Mordowanie każdego, kto staje w drodze, bez litości i bez miłosierdzia. W jakim celu i na co? Może sami nie wiedzieli. Mordowanie było celem, chrześcijaństwo było pretekstem. Potem miał przyjść król Fryderyk II, potem Wilhelm, potem najbezmyślniejszy z masowych morderców, Hitler.

Gdzieś daleko, daleko, pozostała legenda raju, albo wieku złotego, potopów tęcz nad światem, Atlantyd... Stamtąd wyszła dusza człowieka i dusza ta niby strudzony wędrowiec marzy o powrocie do domu ojczystego, do swego raju, w swój złoty wiek, w legendę świętego Graala. Szukano źródła zła trapiącego ludzkość, aby je zasypać, zatkać na zawsze. Jedno z tych źródeł dostrzeżono w miłowaniu pieniędzy. Odrzucić je od siebie precz, podzielić między wszystkich, aby wszyscy byli jednakowo bogaci, czy jednakowo ubodzy. Za czasów apostolskich próbowano stworzyć wielką gminę komunistyczną, obdzielić się wzajemnie miłością i dostatkami. Nie udało się, niestety. Potem przychodzili braciszkowie, jak święty Franciszek, z tym samym ideałem, i wielcy mędrcy, którzy nauczali że wielkie posiadanie jest wielką kradzieżą, złupieniem ubogich, głodnych i nagich.

Campanella! Mnich kalabryjski! Czyliż samo imię jego nie brzmi jak nazwa kwiatu błękitnego o smukłej łodydze i delikatnym zapachu? To on marzył o „państwie słońca", w którym nie byłoby pałaców i ruder, bogatych i ubogich, przesyconych i głodnych, pysznych i nieszczęśliwych, uprzywilejowanych i służebnych, panów i niewolników. Dla wszystkich chciał mieć równe przydziały radości i szczęścia, miłości i pogody. Był prześladowany za swoje marzenia o równości, i braterstwie, i wolności.

Przed Campanellą był Morus, uczony angielski, mąż stanu, człowiek dużej władzy i dużych przywilejów. Ale chciał się tymi przywilejami podzielić ze wszystkimi, w państwie zupełnej równości i wolności wszystkich. Czczono go powszechnie za uczoność, sprawiedliwość, czystość charakteru. Zbuntował się przeciwko rzeczywistości ohydnej, nie znosił widoku wyzysku człowieka przez człowieka. Śnił swój wielki sen Utopii, czyli państwa zupełnego zrównania ludzi wobec obowiązku i przywileju. Ten cudowny człowiek, chluba człowieczeństwa — musiał umrzeć, bo tak chciał i kazał Henryk VIII, który, jak wszyscy despoci, nie potrafił pomyśleć, że zabija kogoś nieskończenie cenniejszego i większego od siebie, od swej małości i nikczemności.

Po stuleciach jakie upłynęły od śmierci tego szlachetnego charakteru i wielkiego serca, Carlo Sforza, jeden z tych co musieli uciekać przed głupotą Mussoliniego, zastanawiał się, ile bezcennego i niezastąpionego wdeptano w błoto w postaci tej młodzieży, którą polityka cesarskich kabotynów popędziła na śmierć w pierwszej wojnie światowej. Wtedy to zrodziła się nowa legenda wojny przeciwko wojnie, legenda twórczego, pracowitego pokoju i szczęśliwości powszechnej. Przyszedł Hitler, wykształcony na paru broszurkach, jeden z tych, którzy dlatego bywają tacy pewni siebie, że nie umieją powątpiewać i krytykować samych siebie. Są to ludzie ograniczeni, często chorzy. Gdyby nam było dane ujrzeć ich dusze w jakim panoptikum, przeraziłaby nas ich potworność. Są to dusze wynaturzeńców i kalek duchowych o potwornych zniekształceniach. I ci miewają posłuch u rzesz milionowych, bo przepaść zawsze odzywa się przepaści.

Rycerz bez trwogi i skazy stał się zbójem w Krzyżaku, poszukiwacz świętego Graala osiadł na zamku jako raubritter. Następcy świętego Franciszka, ubożutkiego Poverello-Biedaczyny stali się zamożnymi opatami, Campanella, mnich kalabryjski, musiał zamilknąć, Morus powędrował pod topór kata na rozkaz głupiego króla. Tępy kanonik Fulbert okaleczył wielkiego uczonego i myśliciela Abelarda i zamknął w klasztorze delikatną i subtelną Heloizę. Oto dzieje ludzkości. Z wycieczki w legendę wracamy smutni i przygnębieni. Chrystusowie idą na krzyż, dobroć Franciszków staje się słowem legendy, Abelardowie ulegają przemocy, Morusowie giną z ręki kata. Ale najgorsze jest to, że rycerz, ideał męskości i męstwa przemienia się w ponurego zbója, niezdolnego ocenić własnej nizoty i podłoty. I rodzi się pytanie, czy zawsze mądrość i dobroć będzie słaba i zawsze będzie musiała ulegać sile głupoty i nikczemności?

W ostatnich czasach dużo mówiono o filozofie niemieckim Nietschem, z którego niemiecki socjalizm narodowy uczynił sobie patrona przez grube nieporozumienie. Nietzsche nie zdążył powiedzieć swego ostatniego słowa. Dusza jego umarła na wiele lat przed śmiercią ciała, jak sam się wyraził w swej wielkiej książce „Tako rzecze Zaratustra". Ale w niewydanych, a raczej w niedokończonych pracach i szkicach jego spotykamy się z marzeniem, które, gdyby zostało rozwinięte, mogło było dać myśli europejskiej bardzo wiele. Nietzsche głosił zrazu zagładę wszystkiemu co słabe. I to właśnie przypadło do gustu masowym mordercom niemieckim. Ale w notatkach Nietzschego, które nie zostały rozwinięte, spotykamy się ze snem o Cezarze z obliczem Chrystusa, Cezarze „nieubłaganie dobrym". Nietzsche zrozumiał dysharmonię naszej kultury i naszych legend. W dziejach dotychczasowych ludzkości mądrość i dobroć zawsze była słaba, nizota i tępota bywała mocna. Nietzsche, który śnił o nadczłowieku jako wyższym typie człowieczeństwa, śnił także o mądrej potędze i mocnej dobroci. I to jest także naszym snem i naszą legendą w tych czasach bez legendy i bez wielkich marzeń. Pragniemy, aby władza spoczęła raz na zawsze w ręku ludzi mądrych i dobrych, i aby już nigdy nie dostała się w ręce tępych i ograniczonych złoczyńców, którzy stworzyli narodowy socjalizm i realizowali go mordując miliony bezbronnych i słabych, aby uczynić miejsce mocnym, tępym i żarłocznym.

Paweł Hulka-Laskowski

STÓŁ

Dobrze, że mamy w jadalni okrągły stół:
okrągły jak przekrój globusa,
jak oplot ramion.
Z niego patrzycie na mnie
okrągło
i uroczyście, jakbyście pozowali do fotografii,
ty, Małgosiu, i ty, Piotrze.
Małgosiu, pisząca ołówkiem listy,
które nie są do odczytania dla nikogo,
prócz mnie, kiedy zechcę przyprawić sobie brodę
Świętego Mikołaja, dziadka do orzechów,
lub mitologicznego boga;
Piotrze, poruszający w powietrzu rączkami,
które nie umieją jeszcze chwytać niczego
prócz próżnej przestrzeni,
— powiedzcie:
Czyż nie
dobrze, że mamy w jadalni okrągły stół?
Wasza matka jest osobą praktyczną,
pewno ona go wymyśliła:
stół okrągły jak patelnię,
z dębowego drzewa,
stół, za którym
siedzę ja,
— w obłoku pary i talerzy.

Ryszard Matuszewski

BITWA O »ORFEUSZA«

Kraków, w grudniu.

Teatr polski cierpiał na jedną chorobę: nie umiał dostatecznie współpracować z polską twórczością dramatyczną. Boy w roku 1919 twierdził na pół żartem, na pół serio, że autor polski, który chce sztukę swoją wystawić na polskiej scenie — musi się postarać o przetłumaczenie tej sztuki na język obcy! Przesądy i uprzedzenia, niechęci i nieufności przedwojenne obciążyły i odradzający się Teatr nowy. Doświadczył ich na sobie Zawieyski jako autor „Męża doskonałego", nawet Szaniawski jako twórca „Dwóch teatrów". Obecnie przedmiotem ataków jest „Orfeusz" Świrszczyńskiej.

Znana jest historia tej sztuki. Jako słuchowisko przed wojną szybko stała się sławna. Podczas okupacji przerobiona na scenę, otrzymała jedną z nagród na konkursie podziemnym (w „jury" były najpoważniejsze autorytety). Wydrukowana po wojnie na łamach „Twórczości", doznała ocen entuzjastycznych. Wystawiona w Toruniu — stała się natchnieniem pięknych essay'ów prof. Stefana Srebrnego, Konrada Górskiego i Wiliama Horzycy.

W Krakowie publiczność podzieliła się na dwa obozy: entuzjastów i przeciwników. Nie ma letnich i obojętnych.

Przeciwnicy podnoszą dwa zarzuty: 1) że „Orfeusz" jest niesceniczny, 2) że jest trudno zrozumiały i zbyt intelektualny. Zacznijmy od zarzutu drugiego. Sztuka jest intelektualnie bogata. To chyba nie jest wada? „Fakt pojawienia się w naszym teatrze poety—intelektualisty, winien być w pełni doceniony" — pisze Jerzy Broszkiewicz. Ale może ten intelektualizm jest zbyt trudny i zawiły dla publiczności? Nie — gdyż na zebranie dyskusyjne, urządzone na temat „Orfeusza" przez krakowski Związek Literatów, przybyły tłumy, których sala nie mogła pomieścić. Przemawiało 28 osób, a słowa najbardziej entuzjastyczne padły ze strony — szarej, najcichszej, zwykle nie zapytywanej o zdanie, publiczności. Więc zdaje się, że „Orfeusz" jest niezrozumiały tylko dla pewnego typu umysłów, — nie dla ogółu. Niesceniczność? Bardzo to modne, nieokreślone i zawodowe pojęcie. Uważano kiedyś Voltaire'a za wzór sceniczności — dziś nie podobna go grać. Naodwrót, Musset uchodził we Francji za „pisarza niescenicznego".

„Orfeusz" ma wielką teatralną zaletę: postacie tego utworu żyją! O Eurydyce osobny essay teatralny napisał Wiesław Górecki. Kobieta, dziecko, a zarazem i duch — wszystko mieści się w tej wieloznacznej postaci.

Akcja rozwija się konsekwentnie — a jest pełna niespodzianek. Mogliśmy przeczuwać, że Eurydyka zapragnie zostać w Hadesie i nie pójdzie z Orfeuszem na ziemię. Nie pójdzie, gdyż tutaj właśnie czuje się szczęśliwa, posłuszna prawom przyrody — i temu przemijaniu, które jest treścią życia. Ale zarazem to jest niespodzianka, zaskoczenie, odkrycie.

Krakowski Stary Teatr, wystawiając „Orfeusza", dał dowód najśmielszej ambicji. Można było wprawdzie — jak chce Konstanty Gałczyński — zagrać utwór Świrszczyńskiej najprościej, systemem kotarowym, wydobywając całą „niezwykłą urodę tekstu". Ale zdecydowano się na drogę inną. Dano utworowi rozmach prawie reinhardowski, przepych malarski, tło muzyczne, tłumny udział statystów. Kosiński (jeden z najinteligentniejszych plastyków teatralnych, uczeń Jouveta) stworzył np. w odsłonie pierwszej wnętrze kawiarni równocześnie starożytnej i współczesnej, skąpanej w jaskrawości, nieco lewantyńskiej. Kiedyindziej rozpalił fantazję widzów śmiało zakreślonymi wirażami.

Białoszczyński dał Orfeuszowi melancholijną przyrodę, filozoficzną wyrozumiałość i poetyckość.

Wojciech Natanson.



FRANCISZEK LISZT

(1811-1886)

W roku bieżącym przypada 135-a rocznica urodzin i 60-a zgonu wielkiego czarodzieja fortepianu, jakim był Liszt, na którego twórczość i technikę fortepianową wywarł wielki wpływ nasz Chopin. (Zdjęcie lewe przedstawia Liszta z r. 18[illegible]).

Krakowiacy i Górale

Grana obecnie w Państwowym Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi komedio-opera Wojciecha Bogusławskiego pt. „Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale" cieszy się ogromnym powodzeniem. Dobrą obsadę i inscenizację, staranne przygotowanie sztuki zawdzięczać należy dyr. Leonowi Schillerowi.



GRAFICY W AWANGARDZIE

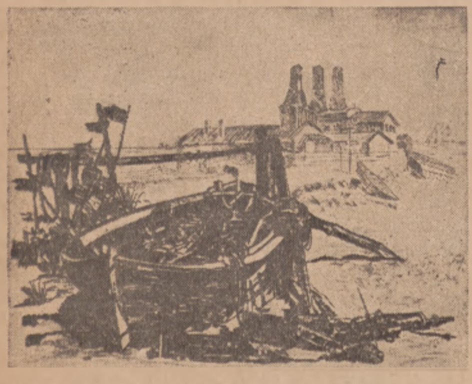
PLASTYKI NA WYBRZEŻU

Gdynia, w grudniu

Plastycy okazali się bardziej czuli od literatów, a nawet i muzyków na dźwięk hasła „powrotu nad Bałtyk". Podążając wiosną roku ubiegłego śladem pierwszych czółówek „pioniersko-operacyjnych" i wytyczoną na zachód trasą pociągów repatrianckich ze Wschodu, osiedlili się tu w zwartej grupie około stu osób. Większość z nich mieszka w nie mniej opłakanych warunkach, niż inni, pokrewni im wybrańcy muz. Nie każdy potrafił sobie zapewnić gdzieś „na boku" aprowizacyjne przydziały, a już zdaje się nie ma ani jednego, któryby posiadał osobną pracownię i mógł dawać zarobkować w niej modelkom, modelom i fotografom.

Na rachunek gdańskiego okręgu Związku Artystów Plastyków, rezydującego w Sopocie zapisać należy trzy wystawy i powołanie do życia Szkoły Sztuk Plastycznych.

Pierwsza na szerszą skalę wystawa odbyła się wiosną r.b. w gmachu Politechniki Gdańskiej, skupiając około 100 eksponatów 45 członków związku. Eksponaty



STANISŁAW ŻUKOWSKI — akwaforta: Łódź rybacka.

pochodziły przeważnie z okresu międzywojennego, tak iż oglądaliśmy je jako unikaty, ocalałe z siedmioletniej pożogi wojennej. Wystawa przypominała szereg głośnych sprzed wojny nazwisk artystów i była w okresie miesięcznym modnym miejscem spotkań „starych znajomych" z minionych czasów. Twórczość wojenna i aktualna reprezentowana była w mikroskopijnym rozmiarze. Nowe dzieła pokazali: malarz ze szkoły warszawskiej Jarosław Konarzewski, Hanna Żuławska i Jozefa Wnukowa oraz graficy, repatriowani z Wilna: Rolicz i Żukowski. Zainteresowanie wystawą było słabe i w ostateczności organizatorzy jej nie wnosili o to specjalnych pretensji. Godne jednak podkreślenia było to, że kilkanaście instytucji państwowych i firm prywatnych ufundowało dla wystawców nagrody pieniężne, w wysokości od 2 do 10 tysięcy złotych, rozdzielonych na odpowiedzialność specjalnego jury. Już w czasie tej pierwszej wystawy stosunkowo najbardziej ekspansywną i „zaktualizowaną" grupę stanowili graficy. To prawdopodobnie zdecydowało, że druga z kolei wystawa poświęcona była wyłącznie rysunkowi i grafice. W wystawie tej wzięło udział kilkudziesięciu artystów.

Wśród eksponatów dominował już bezspornie dorobek z okresu wojny i osiągnięty tu na Wybrzeżu. Lecz i na tej wystawie dobór eksponatów był raczej przypadkowy, tak, iż trudno było zastosować jakieś ściśle określone kryterium dla oceny całości i osiągnięć twórczych w nowych warunkach. Największym plusem wystawy było wyodrębnienie w jej ramach dorobku młodego, utalentowanego malarza Sirankiewicza, asystenta „spiritus movens" gdańskiego ZAP prof. Politechniki Gdańskiej, przybyłego ze Lwowa Władysława Lama.

Trzecią wystawą o głośniejszym rezonansie była „Wystawa Zabytków Starego Gdańska", urządzona wyłącznie pod znakiem aktualności w sali Teatru Miejskiego we Wrzeszczu. O ile dwie pierwsze wystawy odbyły się przy pomocy subwencyjnej z zewnątrz, to już na tę wystawę nie znaleziono żadnego źródła pokrycia. Okazało się, że nie wywołała ona zainteresowania ze strony Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki, że nie mógł nic asygnować również na ten cel odnośny wydział w zarządzie nowego Gdańska, lecz i władze okręgu ZAP-u nic również nie mogły uszczknąć ze swych dotacji na poparcie inicjatywy swych kolegów.

Nie zrażeni tym trzykrotnym „nie", inicjatorzy wystawy doprowadzili wnętrze przydzielonej im sali własnymi rękami do stanu używalności.



STANISŁAW ROLICZ — Z teki ruin Gdańska: fasada domu Stiefensa (akwaforta)

Ta wystawa właśnie, to już było coś, co chwyciło szerszą publikę. Wygląd jej był okazały. Około stu obrazów, przedstawiało Gdańsk, jakim go widzimy — w ruinach. Wystawcy, w ilości zaledwie kilku, rekrutowali się głównie spośród plastyków-repatriantów, b. wychowanków Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego z przedwojennego Wilna. Ci okazuje się, najlepiej wyczuli piętno aktualności i najżywiej ustosunkowali się do rzeczywistości.

Wystawę „Zabytki starego Gdańska" zwiedził m.in. naczelny dyrektor muzeów państwowych Stanisław Lorenz i polecił zakupić szereg eksponatów, (wycenionych przez autorów bardzo oględnie) na sumę 75-ciu tysięcy złotych. Wyboru prac dokonało j u r y. Zakupione obrazy przeznaczono dla Muzeum Miejskiego w Gdańsku. Objęły one prace Stanisława Rolicza, Stanisława Żukowskiego, Bolesława i Władysławy Rogińskich oraz, spoza tej awangardowej grupy wileńskiej, niezrzeszonego artysty gdańskiego Tadeusza Pachala.

Bezpośrednio po tej wystawie zorganizowana została przez grupę grafików wystawa grafiki w tymże lokalu we Wrzeszczu, reprezentując bogaty dorobek Stanisława Rolicza, Bolesława Rogińskiego i Stanisława Żukowskiego, obejmując akwaforty, drzeworyty i miedzioryty o dużej wartości artystycznej. Pokaźna część wystawionych prac Rolicza zakupiona została przez Ministerstwo Kultury i Sztuki na Wystawę Grafiki Polskiej w Moskwie. Wystawa cieszyła się dużą frekwencją zwiedzających, szczególnie młodzieży szkolnej, i w całości przeniesiona została następnie do Gdyni, na zaproszenie Zarządu Miejskiego.



STANISŁAW ROLICZ — drzeworyt: „Drwal".

Przebieg tej wystawy, trwającej w Gdyni przeszło miesiąc, poucza, jak doniosły jest bezpośredni udział artystów w propagandzie sztuki. Zagadnienie upowszechnienia sztuki w świetle takiego właśnie do niego podejścia, przestaje być czczym frazesem, nadużywanym przez nieodpowiednie czynniki.

W zakończeniu podkreślmy jeszcze doniosłość inicjatywy znanego malarza - marynisty Franciszka Szwocha, który powołał do życia koło plastyków-marynistów, jako sekcję w łonie Z.A.P. Do grona głośnych i zasłużonych nazwisk Szwocha, Mokwy, Dzierzęckiego, Suchanka, Gasińskiego, w ostatnim roku przybyły nowe świetnie zapowiadające się w marynistyce nazwiska byłych uczniów Śleńdzińskiego, Jamontta i Hoppena, ze sławnej szkoły wileńskiej.



BOLESŁAW ROGIŃSKI — Z przedwojennego Wilna (akwaforta): „Nędzarze".

Bolesław Wit Święcicki

PALUSZKI

(wiersz dla dzieci)

Jeśli nie masz co robić, spójrz na własne paluszki,
nieodstępne koleżki, najwierniejsze służki.
Każdy z nich sobie bliski, choć każdy osobny,
a jeden do drugiego, szelma, niepodobny.
Ten jest długi, ten krótki, ten gruby, ten cienki,
chociaż wszystkie są dziećmi jednej matki — ręki.
Nikt nie dawał im imion, same się nazwały:
Kciuk, Wskazujący, Średni, Serdeczny i Mały.
Wzrost mają nie jednaki, charakter niezgodny,
lecz nie tak, aby który z nich miał być wyrodny.
Gdy naprzykład Kciuk z Średnim czegoś się dotyka,
reszta wznosi się w górę i od nich umyka.
Albo gdy Wskazujący na kogoś wskazuje,
reszta chowa w dłoń głowy, Kciuk je naśladuje.
Tylko figle je czasem łączą w zgodną ligę,
gdy Kciuk głowę w nie wtyka i udaje figę.
Zaś w pięść twardą je razem łączy tylko bitwa,
a rąk obydwu palce najzgodniej — modlitwa.

Marian Piechal

KRONIKA KULTURALNA

ECHA łódzkiego Zjazdu Literatów pobrzmiewają wciąż w prasie periodycznej. Ostatnio odezwał się w Nr. 8 „Warszawy" Jan Nepomucen Miller, którego referat, wygłoszony na Zjeździe, drukowaliśmy w całości w „Tygodniu" (Nr. Nr. 17 i 18). Między innymi Miller uwydatnia niewłaściwe zachowanie się na Zjeździe niektórych „świeżo upieczonych" literatów wobec Marii Dąbrowskiej. Udzielali oni „pouczeń" znakomitej pisarce, która ma za sobą 30 lat pracy społecznej i literackiej i była autorką radykalnego „Rozdroża", domagającego się reformy rolnej, wówczas gdy jej dzisiejsi mentorzy nawet jeszcze nie ząbkowali. Może więc, w związku z tą wypowiedzią Millera, nie od rzeczy będzie przypomnieć, co pisała Dąbrowska — na długo przed wojną — o obowiązku pisarza w swym studium pt. „Zawód literacki jako służba społeczna". Oto najcelniejszy z niego wyjątek: „Przez obnażenie tajnych sprężyn działania, myślenia i odczuwania; przez wykrywanie pomiędzy nimi związków, pogubionych w rozgardiaszu potocznego życia; przez dociąganie konfliktów życiowych do ich nieuniknionej, w grze świata często uchylanej konsekwencji — artysta, w chaos nazywany życiem, wnosi ład i porządek innego, wyższego, wiekuistego rodzaju. A ład i porządek, wprowadzany zwłaszcza w ciemne dziedziny bytu, w których najtrudniej o kontrolę, jest nieodłącznym atrybutem wszelkiej moralności... Nie wolno trudu artysty i pisarza mącić pouczeniami z zakresu obcych mu kategoryj... Jego służba społeczna i państwowa polega na jego twórczej i odkrywczej pracy artystycznej. Artysta jest przecie wolny w granicach praw, które ustala sama sztuka, a które są nieodwołalne. Żaden z utworów literackich, pisanych w postawie na baczność, nie zostawił trwałego śladu". Podobnie rzecz ujmowali tacy pisarze jak Taine, Flaubert czy Conrad, na których się zresztą Dąbrowska w rzeczonym studium powołuje, a którzy zapewne byli więksi od tych, co pouczali Dąbrowską na Zjeździe.

☆

WZNOWIONE zostało w Polsce wydawanie „Myśli Karaimskiej". Było to czasopismo, przed wojną ukazujące się nieregularnie w Wilnie, ale świetnie redagowane przez orientalistę Ananiasza Zajączkowskiego, Karaima trockiego z dziada pradziada, profesora uniwersytetu warszawskiego. Karaimi — zaledwie kilkutysięczna, najmniejsza przed wojną mniejszość narodowościowa w Polsce — wymierała. W roku 1934 zawarto wśród nich trzy małżeństwa; urodzeń było cztery, zgonów zaś trzynaście: tym sposobem ich „przyrost naturalny" wyrażał się liczbą ujemną — 9. Mieli dwa swoje ośrodki: Troki pod Wilnem i Łuck. W Wilnie żywą działalność kulturalną śród Karaimów rozwijał ich zwierzchnik religijny „hachan" Szapszał, który założył ciekawe muzeum karaimskie; w Łucku działał Aleksander Mardkowicz — wydawca „Biblioteki Karaimskiej". Ze wznowienia „Myśli Karaimskiej" widać, że resztki tego starożytnego narodu (na całym świecie jest ich 12 tysięcy) ocalały szczęśliwie w Polsce z potopu wojny.

☆

W „GŁOSIE LUDU" (Nr. 333) czytamy interesujący artykuł pt. „Jaka będzie nowa Warszawa?". Z artykułu wynika, że będzie piękna, imponująca, monumentalna, głęboko w swej urbanistyce pomyślana, najnowocześniejsza i ultra higieniczna. Nie wątpimy, że za kilkadziesiąt lat tak będzie. Nie sądzimy jednak, że, sławiąc Warszawę przyszłości, należy koniecznie ganić Warszawę dawną, zgruzowaną — jak mówimy o niej dzisiaj: że była chaotycznie zabudowana, ciasna, bez słońca i bez powietrza. Warszawa, jak każde stare miasto, miała historię swego rozwoju i budownictwa. W Paryżu, w Londynie, Moskwie czy Wiedniu też można znaleźć dzielnice chaotyczne, ciasne i bezsłoneczne. Ale dźwigają one na sobie ciężar wieków i są świadkami starej kultury. Podobnie było i w Warszawie. Lecz i ona, wzorem wszystkich metropolii świata, dążyła przed wojną do nowoczesności i monumentalności. Dowodem tego takie jej dzielnice jak Żoliborz czy Saska Kępa, takie imponujące gmachy jak niektóre ministerstwa albo Dworzec Główny. De mortuis nil nisi bene — mówi przysłowie.

☆

ANTONI SŁONIMSKI, szef sekcji literackiej UNESCO, udzielił wywiadu paryskiej „Tribune des Nations", który to wywiad przedrukowuje „Robotnik" (Nr. 335). Między innymi Słonimski stwierdził: „Ludzie są już zmęczeni nadmiarem słów i haseł... Prawdziwej współpracy międzynarodowej dotychczas nie było. Musimy wreszcie przystąpić do pracy rzeczywistej". Co prawda, to prawda.

St. Łatka.



— *tam siadają ludzie rzeczywiście miarodajni...*

rys. M. Nesterowicz.

STÓŁ WIGILIJNY

Na ogół nakrycie stołu na codzień jest mało estetyczne, świadczy o pośpiechu i nerwowości naszego życia. W dniu wigilijnym tym większą należy zwrócić uwagę na wygląd stołu biesiadnego. Jest to wieczerza, do której szykujemy się długo naprzód. Zdawna ustaloną tradycją przygotowujemy parzystą ilość nakryć, jedno z nich może być przeznaczone dla kogoś bardzo bliskiego „zabłąkanego w świecie“, kto myślami napewno będzie w domu rodzinnym. Może akurat w czasie Wigilii zastuka do drzwi...

Wieczerza wigilijna trwa dość długo i wszyscy muszą wygodnie siedzieć. Stół przykrywamy śnieżnobiałym obrusem, pod nim rozpościeramy warstwę siana. Kto wyciągnie długie, zielone źdźbło, — wywróży sobie szybkie i szczęśliwe małżeństwo, źdźbło mocno rozwidlone jest wróżbą potomstwa, nie daj jednak Boże, wyciągnąć zeschły, pokurczony badyl: staropanieństwo lub choroby sprowadzi...

Estetyka nakrycia polega na staranności w ustawieniu i ułożeniu wszelkich przedmiotów, co nadaje przyjemny wygląd ładu i harmonii na stole. Wigilijna dekoracja stołu to gałązki sośniny ułożone przed każdym nakryciem, ładny ornament z igliwia po środku stołu i tradycyjny opłatek na talerzu najstarszego biesiadnika.

Przy nakrywaniu najpierw stawiamy talerze: płaski duży, na nim średni płaski i deserowy — do przekąsek. Sztućce układa się po obu stronach talerza, do ryb po dwa widelce jeden z prawej, drugi z lewej strony. Do śledzi oddzielny mały widelczyk. Łyżkę do zupy układamy z prawej strony. U góry nakrycia układa się sztućce deserowe: łyżeczka do kompotu, widelczyk do ciasta. Kieliszki ustawia się na podstawkach, nieco na ukos, najbliżej prawej strony najmniejszy, który będzie pierwszy napełniony. Na stole nie powinno zabraknąć soli i chleba pokrajanego w kromki.

Na bocznym stoliku ustawiamy gotowe, zimne dania. Również karafki i butelki czekają cierpliwie na stoliku pomocniczym.

Pierwsza gwiazdka na niebie jest hasłem do rozpoczęcia uczty. Najpierw „łamanie się opłatkiem“ i składanie sobie życzeń w tym dniu miłości, zgody i pokoju!...

Jadłospis wigilijny składa się z parzystej ilości postnych potraw. Nawet kraszenie tłuszczem zwierzęcym jest odstępstwem od tradycji. Do najbardziej „wigilijnych“ należą potrawy z ryb, podawanych w różnych odmianach, grzybów, maku, orzechów i miodu.

Przykładowy jadłospis wigilijny: 1) przekąski ze śledzia marynowanego w oliwie, szprotki lub sardynki, skumbrie, 2) ryby w galarecie, sałata jarzynowa-majonezowa, 3) barszcz czerwony czysty z uszkami z grzybów lub zupa grzybowa czysta, 4) ryba na gorąco smażona lub „z wody“ z sosem jajecznym, 5) kompot ze śliwek, kisiel żurawinowy, krem migdałowy, „makodanie“ i łamańce czyli kruchańce, strucla z makiem. 6) Na zakończenie uczty bakalie: makagigi, orzechy, pierniczki lukrowane, palermo. Amatorzy mogą sobie zamówić w domowej kuchni: pierożki z kapustą lub kluski z makiem. Nie zapomnijmy o surówce owocowej „Społem“ która znakomicie gasi pragnienie i zaostrza apetyt.

Barbara Malanowicz

POD CZTERDZIESTYM DZIEWIĄTYM H·E·K·T·A·R·E·M

Moja kochana!

Czy nie wybierasz się przypadkiem do Warszawy? Przyjedź koniecznie. My się teraz zbieramy stale w café-barze „Pod Czterdziestym Dziewiątym Hektarem“, który otworzyła ciocia Odrzywońska. Najlepsze towarzystwo tam bywa. Wszyscy rozparcelowani i w ogóle ludzie zainteresowani ruchem ludowym w Polsce. Tacy eleganccy panowie i dobrze ubrane panie. Dopiero tam widać, że Polska, to rzeczywiście kraj rolniczy. Jeśli idzie o kurs „twardych i miękkich“, to tam siadują ludzie rzeczywiście miarodajni. W ogóle przyjemnie posłuchać, jak tam się omawia wszystkie najpoważniejsze sprawy. W swoim czasie wybuchła ta afera Potockiego, którego, jak wiesz, obrabowano na wyjezdnym. Ten głupi Kowalski, który jest zawsze nastawiony opozycyjnie względem opozycji, powiedział, że może to raczej Potocki chciał obrabować kraj z dzieł sztuki i że takiego człowieka należało ukarać. Tak się wyraził: „człowieka“! Przecież to nie człowiek, tylko hrabia. Cóż to, czy on Kowalskiemu wodociąg naprawiał, żeby o nim mówić per „człowiek“? Ale pomijam już nietakt Kowalskiego, który uważa się za demokratę, a hrabiego od człowieka nie potrafi odróżnić. Ale ta historia była bardzo nieprzyjemna, a to z jeszcze jednego względu. Kocio Mentlikowski mianowicie, którego uważam za człowieka ze wszech miar poinformowanego, powiedział: „Zawracanie głowy dla naiwnych, wcale tych obrazów nikt nie wywoził. Wszystko z palca wyssali, żeby mieć kiełbasę wyborczą“. — „A jednak byłem na tej wystawie i sam widziałem“ — wyrwał się ten ograniczony Kowalski. — „Sami wymalowali“ — odpowiedział Kocio. I bardzo możliwe. Zdawało mi się, że to nie kiełbasa była wystawiona tylko obrazy, ale jak Kocio mówi, to napewno wie. To samo z tą historią w Kanadzie. Tyle hałasu w całej prasie i o co? O parę wystrzępionych kilimów i zniszczony miecz. Żebyś ty wiedziała, moja droga, jakie dywany jeszcze w zeszłym roku się z Zachodu przywoziło! Sama przywiozłam 3 na 4 metry zupełnie nowiutki, wyglądał jak prosto z fabryki. A swoją drogą oni nie mieli dostępu do tych rzeczy, więc tylko należy im współczuć, że u nich cała inicjatywa prywatna obraca się koło paru zniszczonych obiektów. A już co do tego miecza, to doprawdy śmiech. Użytkowa wartość jest minimalna, zwłaszcza, że jest wyszczerbiony i to nawet nasza tutejsza prasa przyznaje, że nie tamci go wyszczerbili, ale że był już przedtem w takim stanie. A jeśli już idzie o pamiątkę po Chrobrym, to mało fotografii zostało? W każdym podręczniku historii. Zresztą Kocio Mentlikowski wyjaśnił krótko: „To była manifestacja polityczna.. Ci ludzie są wrogami panującego u nas ustroju, a raczej reżymu, bo u nas jest nie ustrój tylko reżym. A więc jeśli u nas się upaństwawia własność prywatną, to oni na znak protestu uprywatnili własność państwową“. I tym przekonał wszystkich, którzy byli tego samego zdania.



My się teraz zbieramy stale „pod 49 Hektarem”

Z tego listu widzisz, moja droga, że warto posiedzieć „Pod Czterdziestym Dziewiątym Hektarem“, żeby skorzystać i rozwinąć się politycznie. A więc przyjeżdżaj jak najprędzej.

Serdecznie Cię pozdrawia

Twoja Alicja.

Stefania Grodzieńska

Wśród nocnej ciszy...



★ GWIAZDKA SŁOWACKIEGO i MICKIEWICZA

W listach Słowackiego do matki znajdujemy kilka wzmianek o tym, jak poeta spędzał na obczyźnie Wigilię. W 1833 r., mieszkając w Genewie, smutne miał święta. „Wszyscy domowi wyjechali na wieczór, zostałem sam w domu, ale nie sam zupełnie, bo właśnie w tym dniu otrzymałem do poprawki pierwszy arkusz druku nowego poematu, który wydaję na świat. Wyjście poematu na świat będzie dla mnie bardzo ważną epoką (mowa tu o „Kordianie“)... List ten przyjdzie zapewne na Wigilię: udrzej kawałek papieru, na którym usta moje kładę, tu w dole, na prawym rożku, i niech ten papier będzie opłatkiem. Prawdziwie żem go ucałował i posyłam“. W 1838 r. pisze z Florencji: „Wigilię jadłem z ziomkami, w domu Hermana, na sianie. Sama gospodyni domu dała nam wszystkie dawne potrawy, w których wspomnienia były pieprzem i rodzynkami. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślałem o Wigilii u prefekta Farków, którą niegdyś jadłem, będąc dzieckiem, potem przyszła mi na myśl wielka babuni piekarnia, czeladź śpiewająca kolendy, potem wertep *) Krzemieniecki, któremu może winien jestem mój szekspirowski zapał. Nareszcie, dawnym zwyczajem, wyciągnąłem źdźbło siana z pod obrusa i wyciągnąłem je bez kwiatka. Pani domu, widząc moje zasmucenie, ofiarowała się, że mi drugie wyciągnie. Jakoż dobyła mi źdźbło krótkie bardzo, nie z kwiatkiem, ale z kłosem na końcu. Więc dni moje będą krótkie, ale kłos zostanie po nich. Ja tak tłumaczę sam i cieszę się“.

☆

W 1829 r. Mickiewicz bawił w Rzymie. Wigilię tego roku, a zarazem imieniny swe i urodziny spędził poeta wraz z Odyńcem u państwa Ankwiczów. Solenizant przy łamaniu opłatka odbierał podwójne życzenia i sam podobne składał córce państwa domu — Ewie. Wigilia przeszła bardzo wesoło. Stół był nakryty na sianie, nad nim w środku, kręciła się gwiazda z opłatków. Od dwóch zup: grzybowej i migdałowej aż do grochu i pszenicy z sytą, żadnej z potraw polskich obrzędowych nie brakło. Mickiewicz był w doskonałym humorze. Po wieczerzy, odśpiewano „Anioł pasterzom mówił“, następnie wszyscy udali się na pasterkę do kościoła Santa Maria Maggiore, który posiada relikwie żłobka z betlejemskiej stajenki. Są to cztery szczątki spróchniałego drewna, ujęte w kryształową skrzynkę i złożone w zagłębieniu kaplicy bocznej. Relikwie po mszy pasterskiej obnoszą w uroczystej procesji, wśród szpaleru gwardii papieskiej i stawiają na ołtarzu w innej bocznej kaplicy, gdzie pozostaje przez cały czas świąt Bożego Narodzenia.

* wertep po ukraińsku znaczy szopka.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



FRANCJA — Seria obiegowa została powiększona o dwa nowe znaczki: 15 f (liliowo-brunatny) i 20 f (fioletowo-czarny). Pierwszy, wykonany przez E. Mazelina przedstawia szkołę Roc-Amadour (jak chce autor znaczka, lub: Rocomadour, jak podają atlasy), pokrytą tarasowato kościołami, kaplicami, pałacami i dzwonnicami. Nazwę swą skala zawdzięcza św. Amadourowi, biskupowi z Auzerre, którego ciało, schowane podczas inwazji Saracenów, zostało znalezione w r. 1166. Drugi ze znaczków, którego autorem jest M. Cheffer, pokazuje nam południową stronę Pointe du Raz. Doskonale przedstawione ogrom i ponurość krajobrazu, a do tego jeszcze i żałobny kolor znaczka, prowokują odpowiedni nastrój do oglądania tego morskiego cmentarza, w którego głębinach śmierć znalazły niezliczone rzesze marynarzy z całego świata.

AUSTRIA — Seria, której tematem są wiedeńskie derby, składa się z pięciu wartości: 16 + 16 gr, 24 + 24 gr, 60 + 60 gr, 1 + 1 sz, 2 + 2 sz. Rysunek wykonał malarz Bauer, rył prof. Ferdynand Lorber.

HISZPANIA — Dyktator Półwyspu Iberyjskiego zaopatruje swą podobizną coraz to nowe znaczki. I tak znajdujemy go ponownie na wartościach: 75 c (niebiesko-czarny) i 1 p 35 c (ciemnofioletowy).

(wo)

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

Prosimy czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY 150 ZŁ NAGRODY

●

W ubiegłym tygodniu nagroda została podzielona: po 75 zł. otrzymali: **Maria Holstein-Beck** (Wałbrzych, ul. Stalina 42/3) i Jerzy Kozakiewicz (Wałbrzych, ul. Zamkowa 4/18) za nadesłanie tegoż samego, poniższego wycinka z „Dziennika Zachodniego" z dn. 26. 11. 46.

●

BISMARCK MAWIAŁ: POLSKIE KRÓLIKI

Wałbrzych. Ostatnie zestawienie statystyczne Urzędu Stanu Cywilnego wykazało, że od stycznia do końca września rb. ilość zgonów przewyższa liczbę urodzeń prawie o 100%. Na 764 urodzenia statystyka wykazuje 1495 zgonów, przy czym z pośród 764 urodzeń 90% to dzieci Polaków. Jest to objaw dla nas bardzo pocieszający i świadczy o stałym wzroście ludności polskiej na Ziemiach Odzyskanych.

Wniosek słuszny i zdrowo logiczny — pod warunkiem, że na 1495 zgonów 90% to zgony niemieckie. A propos statystyki, czy państwo pamiętacie o niej anegdotę Boya? Co to jest statystyka? — pytał jeden drugiego. Wytłumaczę ci — odpowiedział tamten: — Widzisz, jeżeli twoja żona zdradzi ciebie cztery razy, a moja nie zdradziła mnie ani razu, statystyka obliczy, że nasze żony zdradzały każdego z nas po dwa razy.

●

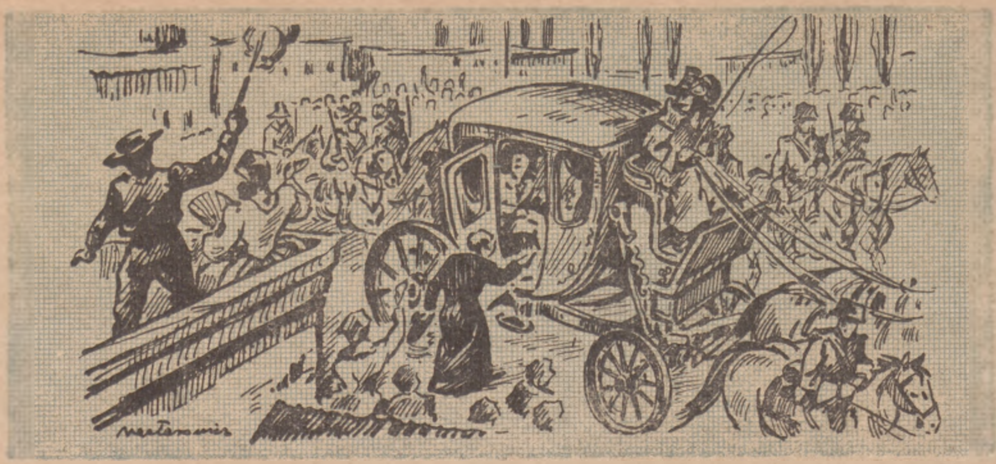
PRZYKRA SPRAWA

Z redakcji „Szpilek" otrzymaliśmy poniższy list:

W związku z ogłoszoną w Nr. 21 „Tygodnia" w dziale „Skleroza" notatką, prosimy o zamieszczenie w najbliższym numerze, na tym samym miejscu co wspomniana notatka, następującego wyjaśnienia dla czytelników „Tygodnia":

Redakcja „Szpilek" nie nadsyłała pod adresem „Tygodnia" ani wierszyka z czytanek na II klasę szkól powszechnych ani żadnych komentarzy do tego wierszyka.

Staliśmy się więc ofiarą jakiegoś figla: ktoś nadesłał nam wzmiankowany wierszyk, podszywając się pod redakcję „Szpilek". Trudno: koń ma cztery nogi i też się potknie. Nawet sam Wilhelm Feldman, wielki znawca literatury, wydrukował niegdyś w swojej „Krytyce" wiersz Słowackiego z podpisem Jana Bandury, który, chcąc wypróbować wszechwiedzę wielkiego znawcy, wyrządził mu psikusa. I myśmy się dali uwieść, przekonani, że dowcipny komentarz do wierszyka mógł wyjść tylko z takiej wytwórni doskonałego humoru, jaką jest redakcja „Szpilek". Dopiero teraz, po otrzymanym zaprzeczeniu, wniknawszy głębiej w dowcip komentarza, dochodzimy do wniosku, że istotnie komentarz mógłby być dziełem „Szpilek", ale tych starych co to nie rdzewieją. Serdecznie przepraszamy „Szpilki" za naszą pomyłkę.



Anegdoty historyczne

BIS!

Gdy Filip V, wnuk Ludwika XIV powołany został na tron hiszpański, odbył w r. 1700 wjazd do swego nowego królestwa przez małe pograniczne miasteczko Montlhery.

Proboszcz miasteczka, w otoczeniu swych parafian, zapragnął powitać uroczyście monarchę, a że miał ambicje literackie, ułożył odpowiedni wierszyk, który odśpiewał przed królem:

Wszyscy obywatele Montlhery
Składają, królu, życzenia ci!
Jesteś nam od Boga dan,
Dan, dan, dan!
Wielki król a nasz pan.
Pan, pan, pan!

Ubawiony król zawołał:

— Bis! jeśli to wam nie sprawi trudności, wielebny księże!

Proboszcz odśpiewał swój kuplet po raz drugi i otrzymał sztukę złota na biednych.

— Bis! najjaśniejszy panie, jeśli to wam nie sprawi trudności — powiedział, wyciągając rękę: — jeszcze na moich biednych.



Gwiazdy filmowe również interesują się tym, co im przyniesie Nowy Rok 1947. Urocza artystka filmowa Charlotte Nicholls wróży sobie z źdźbeł trawy. Sądząc po wyrazie twarzy artystki wróżba nie wypadła źle.

Celem uniknięcia pomyłek i zwłoki w doręczaniu pisma, prosimy przy zgłaszaniu prenumeraty o czytelne i dokładne wypełnienie blankietów nadawczych PKO lub przekazów pocztowych z podaniem imienia i nazwiska, adresu oraz zaznaczeniem za który miesiąc opłata zostaje uiszczona. Konto P.K.O., Łódź VII Nr 4321

ADMINISTRACJA



TRUDNY EGZAMIN

Studentom zoologii na jednym z uniwersytetów amerykańskich zademonstrowano ten szkielet. Większość dawała zupełnie fantastyczne odpowiedzi w rodzaju „archeopter" i „hesperonis". Egzaminacyjny ptak został specjalnie skonstruowany z tylnych nóg kota, kręgosłupa, klatki piersiowej i szyi kury oraz głowy egzotycznej ryby. Niewielu tylko studentów amerykańskich umiało rozpoznać kości.

(Science Magazine)

Czy wiecie, że...

Polka była matką cesarza niemieckiego.

Cecylia zwana „Cymbarką", córka Ziemowita IV księcia mazowieckiego na Płocku, wydana została za mąż przez swego wuja, króla Władysława Jagiełłę za Ernesta Żelaznego, księcia rakuskiego w 1412 r. Syn zrodzony z tego małżeństwa zasiadł później na tronie cesarskim jako Fryderyk III. Cymbarka słynęła z siły i z łatwością łamała żelazne podkowy.

Cervantes, autor sławnego don Kiszota, jeden z najznakomitszych poetów hiszpańskich, bardzo smutne przechodził w życiu koleje. W bitwie pod Lepantem stracił rękę od tureckiego postrzału. W kilka lat potem pojmany w niewolę przez korsarzy przez sześć i pół lat był jeńcem, znosząc najsroższe męczarnie. Wykupiony przez O. O. trynitarzy powrócił do ojczyzny, ale genialne jego utwory nie zostały za życia ocenione i Cervantes często bywał w takiej nędzy, że żebraniną chronił się od śmierci głodowej. Zmarł w 1616 r.

Mozart czytał Homera, Danta i Petrarkę stale przed śniadaniem do fortepianu.

OD REDAKCJI. Następny numer „Tygodnia" ukaże się w niedzielę dnia 5 stycznia 1947 r. i oprócz artykułów politycznych, gospodarczych, literackich, wiadomości sportowych, humoru itp. zawierać będzie dalsze, ciekawe fragmenty z książki: „Bitwa o Monte Cassino" Melchiora Wańkowicza oraz dalszy ciąg szczegółów o szczepie Masai — inż. Wiktora Ostrowskiego.

NOWY ROK



— Serwus dziadku!
— Serwus smyku — i ty się w końcu wywrócisz!

DRUGI KONKURS „TYGODNIA"
NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

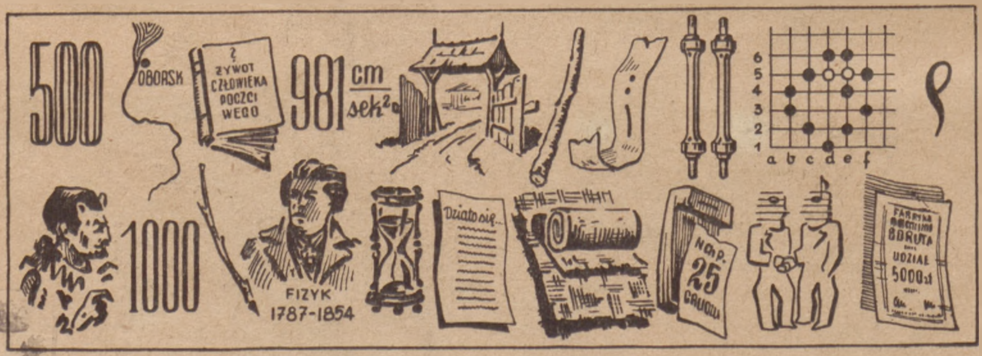
WARUNKI KONKURSU: W numerze 17 ogłosiliśmy II konkurs na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach. Dziś podajemy dziewiąte zadanie.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

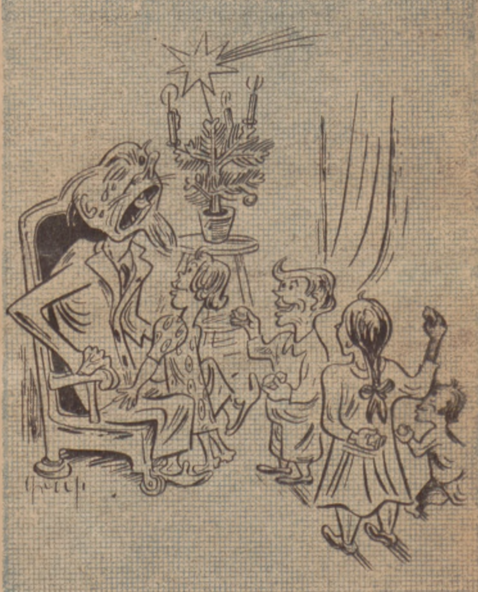
1 nagrodę — 2000 zł. 2 nagrody po 1000 zł.

4 nagrody po 500 zł 10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 20 stycznia 1947 roku do redakcji „Tygodnia", Łódź, ulica Pomorska 37/1.



DZIADEK DO ORZECHÓW



— Dziadzio — pogryź nam orzechy!



Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje 13 — 14 ● Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37, m. 1, tel. 14-906 ● Prenumerata miesięczna 30.— zł ● Konto P.K.O. Łódź VII Nr 4321
Ogłoszenia: cena za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 50.— zł ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja Struga 63 ● D. 012240